



POD SZTANDAREM FRONTU NARODOWEGO

ROZPOCZĄŁ OBRADY NOWOWYBRANY SEJM POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ. REPORTAŻ FOTOGRAFICZNY Z HISTORYCZNEJ PIERWSZEJ SESJI NA STRONACH 2, 3 I 4. (Zdjęcia: „Świat” — W. Sławny i Z. Małek)



J E S T E Ś M Y T U Z W



Najdonioślejzym momentem pierwszego, uroczystego posiedzenia Sejmu P. R. L. było powołanie przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego — Bolesława Bieruta, na stanowisko Prezesa Rady Ministrów. Sejm dokonał następnie wyboru Rady Państwa (na zdjęciu), której przewodniczącym został Aleksander Zawadzki.



NOWI ludzie, nowe słowa, nowe idee, nowe prawa w starej sali przy ulicy Wiejskiej. Mury sejmowej rotundy ocalały ze zniszczeń i pożarów Warszawy. Odnowiono ją w roku 1947, a obecnie upiększono, sam gmach zaś rozbudowano, przystosowano do nowych potrzeb.

Trzydniowe obrady nowego Sejmu dowiodły, czym on jest w swej istocie: przedstawicielstwem ludu.

Stara sala nasuwa przypomnienia o dawnych czasach. Wypełniają ją dziś posłowie ludu, robotnicy, chłopci, inteligenci, naukowcy, pisarze, artyści, czołowi ludzie nowej Polski, ci, którzy stoją na czele partii i rządu, którzy prowadzą Polskę na nowej drodze. Panuje tu atmosfera spokoju, radości i głębokiego poczucia siły. Jest to siła wzięta od narodu. Bo sala ta pamięta i inną siłę...

Zdarzało się za tamtych czasów, że garść prawdziwych przedstawicieli ludu przedarła się przez prześladowania, przez uniważniania list, przez terror wyborczy. A wówczas...

O otwarciu sejmu w 1928 roku pisał w swych pamiętnikach czołowy stupałka sanacji, Sławoj-Składkowski: „Policję potrzebną mi na sali umieściłem w jednym z domów przy ulicy Wiejskiej. Byli to dobrani ludzie bez karabinów, tylko z pistoletami przy pasach. W razie, gdyby pierwszy dziesiątek policjantów nie dał sobie rady przy robieniu porządku w sali Sejmu, miał nadejść z pomocą drugi, zbrojny już w karabiny”.

Otwierający sejm Piłsudski wydaje rozkaz usunięcia z sali posłów komunistycznych. Wbrew konstytucji policja wkracza do sejmu. Składkowski pisze z lubością:

„Biegłem korytarzem, a za mną stukali okutymi obcasami policjanci.

— Byle tylko nie omylić się co do drzwi! — myślałem. Oto drugie drzwi szklane, otwieram je szybko i wbiegam do sali, a za mną wojewoda Jaroszewicz z policjantami”.

Oddział okazał się za słaby. „Na szczęście — pisał Składkowski — Jaroszewicz wprowadza w tej chwili drugi dziesiątek policjantów... Komunistów każe odprowadzić do komisariatu policjantom z karabinami, a pierwszy rzut z pistoletami każe mieć, na wszelki wypadek, jeszcze w pogotowiu”.

Tak wyglądała ta ich „demokracja” w praktyce. Przemienili nawet echa kroków Składkowskiego i jego granatowych chłopaków w sejmowych korytarzach. Prawdziwi przedstawiciele narodu obradowali bez przeszkód, gdyż są przedstawicielami narodu w państwie rządzone przez naród. Ale wielu to trzeba było walczyć, aby tak się stać mogło, jak się stało, by w gmachu tym nie rządził Składkowski i jego policja, by minął on i wszyscy tacy jak on, tutaj i w całej Polsce, by wielki biolog Dembowski mógł temu Sejmowi przewodniczyć, by górnik Zawadzki wybrano tu przewodniczącym Rady Państwa, by wśród entuzjastów sali i całego kraju Bolesław Bierut mógł przedstawić swój rząd Sejmowi.

Te trzy dni obrad sejmowych były jedną wielką demonstracją dojrzałości, mądrości i wielkości władzy ludowej. Sejm dokonał wyboru naczelnych władz państwa w myśl konstytucji lipcowej, tym samym wprowadzając ją w życie w całej rozciągłości. Organizacja tych władz zgodna jest z głębokimi przemianami, które się w Polsce dokonały i które ciągle się dokonują.

Siła tych przemian polega zaś na tym, że nie są to jakieś zmiany formalne i powierzchowne. Nie ma dziedziny życia ludzkiego, nie ma przejawu tego życia, które by pozostały zastarzałe, zaskorupiałe w kształcie nadanym przez bezpowrotną przeszłość. Mogliśmy to stwierdzić choćby przy jednym z ostatnich aktów tej sesji sejmowej, przy uchwaleniu przezeń amnestii. Podane przez ministra Radkiewicza liczby, dotyczące olbrzymiego spadku ilości przestępstw w Polsce w porównaniu z okresem przedwojennym, jakże dowodzą wymownie głębokości, powszechności przemian społecznych. Oto ilość skazanych za kradzież wynosi obecnie jedną piątą skazanych za kradzież w roku 1937. Głód i nędza — twórcy złodziei — zniknęły, znikają i złodzieje.

„Liczba skazań za dzieciobójstwo spadła do jednej dziesiątej w stosunku do roku 1937” — mówił między innymi minister Radkiewicz. Tu nie ma przypadków. Gdy państwo podjęło opiekę nad kobietą ciężarną, nad matką i jej niemowlęciem, gdy zniknęła hańba dziecka nieślubnego, gdy, słowem, usunęło przyczynę zbrodni i sama zbrodnia zanika. Zanika jedna z najstraszliwszych zbrodni, nad którą beznadziejnie ręce zalamywali ludzie najlepsi i bezzilni w dawnych warunkach.

Sprawa ciężarnej, niezamężnej kobiety, sprawa jej dziecka — to stare dzieje. To sprawy, którym rady dać nie mogła żadna filantropia. A zdarzały się wypadki wymowy straszliwej. W roku 1890 Warszawa wstrząsnęła potworną wiadomością. Oto w jednym z domów przy ulicy Pańskiej przypadkowo w czasie gaszenia pożaru odkryto kilka trupów świeżo zamordowanych niemowląt. Śledztwo wykazało, że niejaka Skublińska przyjmowała na garnuszek nowonarodzone dzieci robotnic, służących i innych kobiet nie mających możliwości wychowywania swych dzieci, po czym je zabijała. Tak zabiła około siedemdziesięciu niemowląt.

Wówczas to zabrał głos Bolesław Prus pisząc: „Pies odszczekuje, usłyszawszy skomlenie szczenięcia. Czyż więc podobna, ażeby wielkie miasto było głuche na płacz niemowląt. I mielibyśmy odwagę spoglądać sobie w oczy na rautach, balach, teatrach, wiedząc, że w tej samej chwili, kiedy się bawimy, jakaś Skublińska może rozbija o sztyber głowę jakiegoś dziecka?”

Był to prawdziwy głos szlachetnego — wołającego na puszczy. Sprawa Skublińskiej ucihła, a matki-panny, matki-nędzarki, doprowadzone do rozpacz, dusiły swoje dzieci, topiły je w Wiśle albo — jak Ewa Pobratyńska z „Dziejów grzechu” Zeromskiego — w dole kłoczynym.

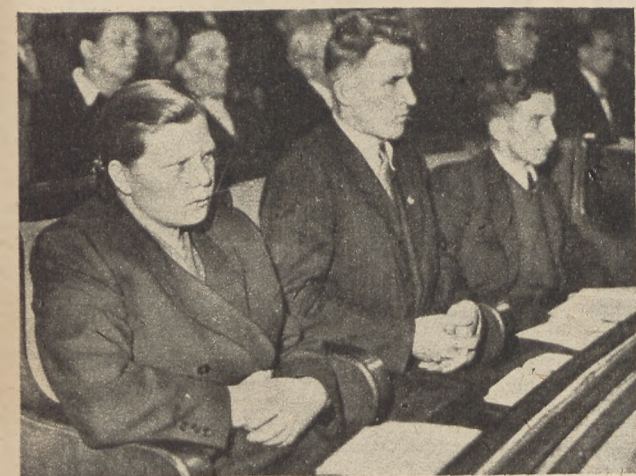
Dziś dziesięć razy mniej małych istot ludzkich ginie w ten hańbny sposób. Państwo Ludowe dokonało takiej zmiany warunków, że każde dziecko ma prawo do życia, każda matka prawo do dziecka.

Liczby mówią o wielkich zdobyczach naszych w dziele budowania nowego człowieka przy pomocy tworzenia nowych warunków gospodarczych. Te liczby wskazują także, gdzie jeszcze uderzać musi nasza myśl żywa i czujna, gdzie jeszcze w Polsce dziś czai się ból i krzywda. Gdzie jeszcze, w jakich wypadkach rządzi bezczelność uwodziciela, obmowa głupiej kumy, niepotrzebna, ale szalona rozpacz. Nowe życie rozwija się i kwitnie. Pokażmy je wszystkim. Nauczmy ludzi żyć.

I stąd bierze się ta właśnie szeroka, wielkoduszna amnestia, którą władza Polska dała ludziom, którzy zawinili. Stąd jej szerokie ramy, szerokie, ale ograniczone. Ograniczone, bo poza amnestią znajdują się ci, co z zamysłu, z zamiaru pragnęliby powrotu stosunków społecznych i politycznych, ustroju, w którym działać mogła Skublińska, w którym wraz z nędzą i bezrobociem rosły statystyki przestępstw.

JAN SZELĄG

OLINARODU



Posłanka Anna Krzyżak (pierwsza od lewej) słucha przemówienia Marszałka Sejmu, J. Dembowskiego.



Posłowie z uwagą śledzą przebieg obrad — zdają sobie sprawę z wagi zadań, jakimi obarczył ich naród.



W skład nowego Sejmu wchodzi najlepszy synowie polskiego narodu: robotnicy, chłopci, działacze polityczni... Na ławach okręgu Warszawa-Miasto zasiadają (na pierwszym planie) Marszałek K. Rokossowski i min. J. Berman.

3 DNI OBRAD



Rankiem 20 listopada do Sejmu przybyli posłowie ze wszystkich stron Polski. Przed otwarciem obrad zwiedzano nowowbudowane skrzydło gmachu sejmowego...



Posłowie witają gorącymi oklaskami przemówienie Prezesa Rady Ministrów — Bolesława Bieruta, wygłoszone na uroczystej sesji sejmowej w dniu 21 listopada.



...w kuliach panuje ożywiony ruch. Poseł Józwiak-Witold kończy pogawędkę, bo dzwonek wzywa już na salę...



Działacz chłopski pos. Janusz i literat pos. L. Rudnicki znajdują wiele interesujących ich wspólnie tematów do rozmowy.



Podczas przerwy w obradach Minister PGR. Chęłchowski, prowadzi ożywioną rozmowę.



Grzegorz Bil z okręgu radomskiego i Jan Domaniewski z pow. Krosne otrzymali właśnie listę proponowanych członków Rządu P. R. L.



Członek Rady Państwa R. Zambrowski w rozmowie z Przew. S. R. N. — J. Albrechtem.



Wiceprezesa Józef Cyrankiewicz, Hilary Minc i Tadeusz Gede oraz min. Jakub Berman.



W przerwie obiadowej bufet sejmowy cieszy się powodzeniem. Pos. Ignar (po prawej) za chwilę otrzyma obiad



Marszałek Rokossowski zdąży jeszcze wypalić papierosa zanim dzwonek ponownie wezwie posłów na salę obrad...



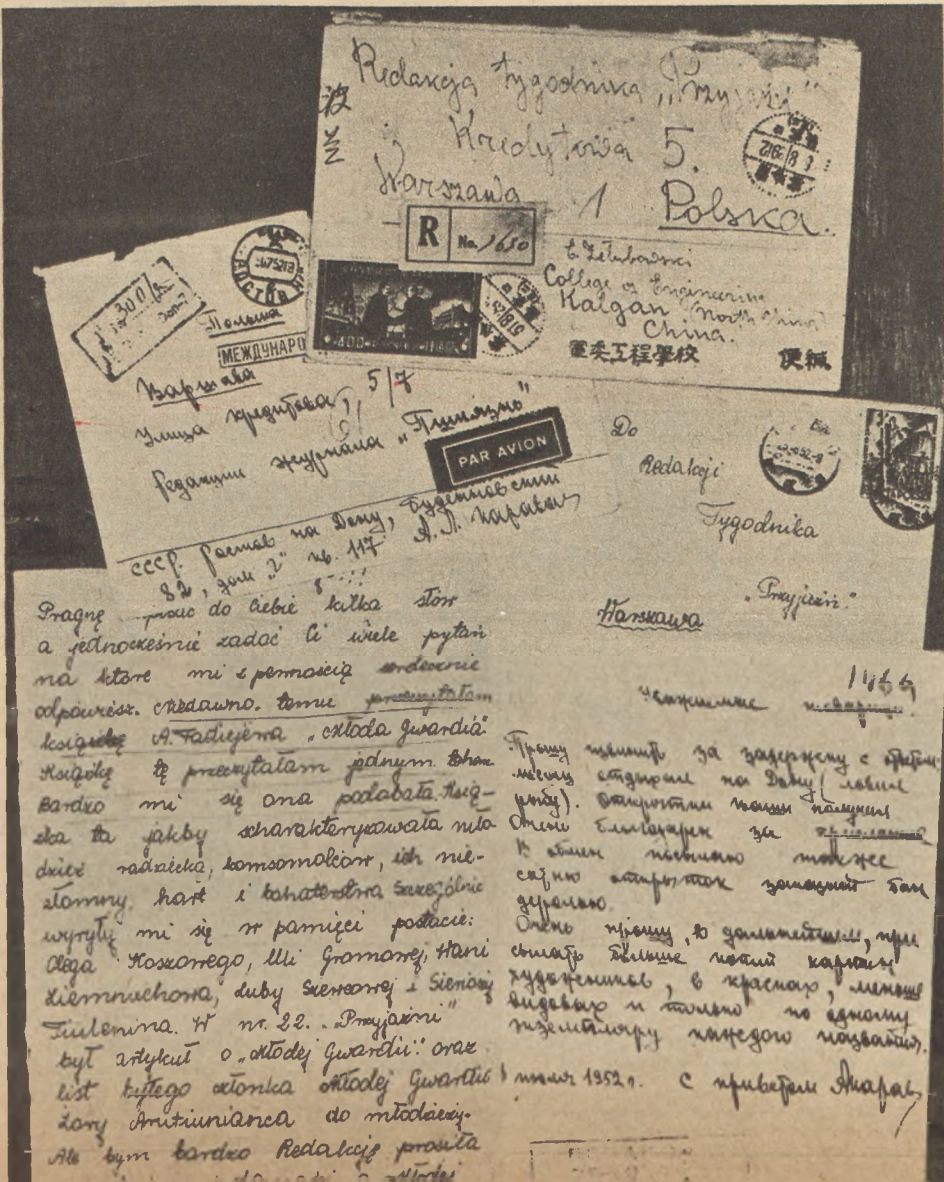
Tutaj nowowibrani posłowie otrzymują legitymacje poselskie: właśnie wypełnia formalności pos. Osmańczyk



„Dzieliła nas, dzieliła wojna: tyś szedł na front, na krwawy bój, lecz żyłam tu o los twój niespokojna...” — śpiewają uczniowie Szkoły Metalowej M.T.K. w Warszawie. Lecz nie tylko oni, ze wszystkich stron Polski napływają do redakcji tygodnika „Przyjaźń” listy z prośbą o wydrukowanie ulubionych piosenek radzieckich: „Daleko, daleko”, „Ciemna dziś noc”, „Roziło się morze szeroko”, „Cztery serca”, „Moldawianka”, pieśni z filmów „Piętnastoletni kapitan”, „Traktorzyści” i wielu innych.

PISZĘ DO CIEBIE TEN LIST Z POLSKI...

Liczni czytelnicy „Przyjaźni” z kraju, z ZSRR, z krajów demokracji ludowej, a nawet z Chin nawiązują ze sobą kontakt za pośrednictwem serdecznych listów.



JAK zwykle na biurku leżał stos listów. Zora Arutiunianc, nim się jeszcze posilił po przyjeździe z komitetu Komsomolu, machinalnie zaczął je segregować. Rostów, Kazań, Pietropawłowsk na Kamczatce, Kijów, Samarkanda... Na jednej z kopert spostrzegł znaczek zagraniczny, z uwagą odczytał nazwę kraju: Polska.

Czy pamiętacie jeszcze Żorę Arutiunianca, jednego z bohaterów Młodej Gwardii? W jego mieszkaniu, na odludnym przedmieściu Krasnodonu, spotykał się Oleg Koszewoj z towarzyszami. Zora wraz z Wołodą Osmuchinem i Tolą „Grzmi Grzmot” wygrzebali w parku resztki nieuprzątniętych przez Niemców czcionek, co pozwoliło na założenie skromnej drukarni, w której składano później ulotki. Skrzynię i kasztę wykonał ojciec Żory, stolarz. „Ojciec Żory był człowiekiem starszym, spokojnym — czytamy w „Młodej Gwardii” — niedużego wzrostu, sięgał synowi zaledwie do brody. Syn całkowicie wdał się w matkę, po niej odziedziczył charakter, wzrost i włosy czarne jak skrzydła kruka”. Ten właśnie Zora Arutiunianc brał udział w Trybunale, skazującym na śmierć zdrajcę Fomina, i on to odczytał mu wyrok w imieniu Związku Socjalistycznych Republik Rad — jak pisze autor powieści, Aleksander Fadijew — głosem „o lekkim ormiańskim akcencie”.

Takim niewątpliwie pozostał Zora Arutiunianc dla większości czytelników „Młodej Gwardii”.

Tak również Arutiunianca wyobrażała sobie pewnie młodzież Państwowej

Szkoły Ogólnokształcącej z Pułtuska. Jej to list czytał właśnie Zora, starannie rozciawszy jego brzegi ostrym nożem. Ze wszystkich stron Związku Radzieckiego napływała doń nieprzerwanie ogromna korespondencja, ale nawet gdy Zora był zmęczony i nie miał dość czasu na odpisywanie, nie zrodziła się w nim taka niedorzeczna myśl. Bo byłaby to myśl niedorzeczna. Gdy odczuwał zmęczenie, te listy przywracały mu energię i młodość.

Zora wyjął pióro i napisał: „Bardzo wzruszył mnie fakt, że sylwetki moich nieżyjących przyjaciół z Młodej Gwardii znane są również u Was, w Polsce, i że razem z nami czcicie ich pamięć...”

Piszecie, że podziwiacie hart ducha i bohaterstwo Młodej Gwardii. Tak, to jest prawda. Cechowały ich hart ducha i bohaterstwo, lecz są to zalety każdego radzieckiego człowieka, który gotów jest dla swej ukochanej ojczyzny, dla jej dobra poświęcić wszystko, nawet życie...”

Wanda Jałmużna całej klasie czytała ten list na głos, wzruszona, a jednocześnie triumfująca: „Chcielibyście się dowiedzieć o losie pozostałych przy życiu członków Młodej Gwardii. Napiszę Wam o tym pokrótce. Ze 104 osób żyje osiem. Waleria Borc mieszka w Moskwie i wykłada w szkole. Olga i Nina Iwancowe pracują w aparacie partyjnym, Nina w Woroszyłowgradzie, Olga w Krasnodonie. Pracy partyjnej poświęcił się również M. Szyszczenko; Anatol Łopuchow, Wasili Lewaszow i ja pracujemy w aparacie Komsomolu. Radik Jurkin jest lotnikiem morskim. Oto są wszyscy.

Serdecznie pozdrawiam uczniów Wąskiej klasy i całej szkoły, a także nauczycieli. Zora Arutiunianc“.

Wanda Jałmużna jest korespondentem „Przyjaźni“. Ona to podsunęła myśl, aby za pośrednictwem tego tygodnika znaleźć drogę do żyjących jeszcze bohaterów Młodej Gwardii. Niektórzy wyśmiewali się po kątach z tego jej pomysłu, twierdzili, że żaden z „gwardzistów“ nie raczy się nawet odezwać. Do kogo to, do tych nieznanym uczniom z Pułtyska? Nonsens. A jednak nie był to non-

sens. Pierwszy z nich, Zora Arutiunianc odpisał natychmiast, a wkrótce przysłał jeszcze jeden list.

Nie mniej popularny od bohaterów „Młodej Gwardii“ jest lotnik Meresjew, opisany przez Borysa Polewoja w pięknej książce „Opowieść o prawdziwym człowieku“. Czy jest ktoś w stanie zapomnieć jego hart, męstwo i odwagę? Czy, gdy trzeba przezwyciężyć wielkie trudności, nie zachęca do tego jego piękna postać?

Stanisław Cieślak ze wsi Barcik jak

najstaranniej wykaligrafował do Meresjewa list z kolorowymi ozdobnikami: „Towarzyszu, piszę do Ciebie ten list z Polski... Wybaczenie — prosił — że się przedstawię: otóż jestem harcerzem, jednym z tych, którzy budują Polskę Ludo- wej lepsze jutro. Niedługo, Towarzyszu, wstąpię do ZMP. Drogi Towarzyszu, jesteście naprawdę najdzielniejszym z bohaterów, o jakich w życiu słyszałem... Słyszałem również, że macie synka. Czy nie moglibyśmy z sobą korespondować?“ Stanisław Cieślak ma zaledwie kilkanaście lat i nie umie jeszcze lepiej wypowiedzieć swych myśli i uczuć, ale do jednego umia przekonać: do szczerości tego, co napisał.

„Czytałem książkę Siemiona Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy“ — pisze do „Przyjaźni“ inny chłopiec, Bogusław Hamera z Chwałowic — i chciałbym wiedzieć, czy bohater tej książki, Sergiusz Timofiejewicz Tutarinow, żyje na Kubaniu. Pisarze radzieccy bohaterów powieści biorą z życia, np. o Aleksym Meresjewie wiemy, że on żyje w ZSRR, to na pewno i żyje Sergiusz Tutarinow“.

Hamera list zakończył zdaniem: „Czekam na odpowiedź“ — i zaopatrzył je aż w trzy wykrzykniki, aby dać poznać, jak niecierpliwie. Redakcja nie ościagała się oczywiście z opisaniem: „Postać Sergiusza Tutarinowa jest prawdziwa, jest wzięta z życia, ale imię i nazwisko nie są autentyczne. W Tutarinowie autor zobrazował nie jednego, lecz wielu „Kawalerów Złotej Gwiazdy“.

Nie wiadomo, jak tę wiadomość przyjął Bogusław Hamera, może się trochę rozczarował, gdyż młodzież nasza pragnie, aby każda z radzieckich postaci powieściowych żyła naprawdę, jak Arutiunianc i Meresjew. Poprzez listy szuka kontaktu z każdym niemal bohaterem powieści i często nie rozumie, iż już to samo świadczy, że są to postaci prawdziwe w innym sensie, w sensie prawdziwości sztuki realistycznej, wiernie oddającej walkę i dążenia socjalistycznych społeczeństw nowej epoki.

Lecz do „Przyjaźni“ napływają i inne listy, sięgające poza bohaterami do ludzi zwykłych, a przecież — jak zapewnia Arutiunianc — również zdolnych do bohaterstwa, o ile wymagać tego będzie od nich groźna dla kraju sytuacja. Barbara Savier z Wrocławia prosi: „...pragnęłabym bardzo nawiązać korespondencję z kolegą studentem (najchętniej z wyższej szkoły rolniczej) ze Związku Radzieckiego, aby podzielić się spostrzeżeniami, wiadomościami itp. O ile jest to możliwe, Droga Redakcjo, przyslij mi adres“.

Przez granicę, w jedną i drugą stronę, wędrują siecią pocztową drobne, niepozorne karteczki, a przecież i one również — i to coraz silniej, zbliżają do siebie polski i radziecki naród, umacniają między nimi przyjaźń i przywiązanie. Jedni wynieśli do domów wspólne przeżycia wojenne, inni szukają się dopiero teraz, aby podać sobie dłoń w walce o te

same ideały. Zygmunt Garbowski z Wrocławia stracił kontakt z oficerami radzieckimi, którzy 1943 roku udzielali pomocy jego oddziałowi partyzanckiemu. Prosi o ich adres.

Nina Matczuk nie szuka nikogo z żywych, szuka tylko atmosfery, w której żył jej brat, Mikołaj Winniczuk, poległy w walce z hitlerowcami pod Sandomierzem. Z partyzantami radzieckimi śpiewał wtedy zawadiacko:

Pusztyjny śnieg leżał na wietkach,
a dym klubilsia nad rieką.
Poszoł w dalokuju razwiedku
Krasnoarmiejec mołodoj...“

„Piosenka ta zamilkła — skarży się w liście. — Jeśli to możliwe, proszę Was o podanie jej w „Przyjaźni“ lub przez radio“.

Franciszek Jesionowski spod Łukowa ujrzał w „Pionierskiej Prawdzie“ fotografię bohatera pracy, Agajewa, i rozpoznał w nim swego ucznia z Baku. W 1921 roku wykładał tam na kursach zawodowo-technicznych dla kolejarzy i teraz pragnie nawiązać korespondencję, pisząc, iż dumny jest, że jego „uczeń zajmuje wysokie stanowisko i ma tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej“.

Nauczyciel szkoły średniej z Rostowa nad Donem, Karawajew, zwraca się znów z pytaniem, z kim w Polsce mógłby wymienian pocztówki, i tak uzasadnia tę swoją prośbę: „Wiemy, że polityczne, społeczne, codzienne życie narodu przejawia się w sztuce. Pocztówka zaś odtwarza większość dzieł malarstwa i rzeźby, toteż staje się ona swoistym dokumentem historycznym. Umiejętne ich kolekcjonowanie z podziałem na tematy może odtworzyć dzieje wielkich wydarzeń, reform społecznych w sposób przejrzysty i obrazowy“.

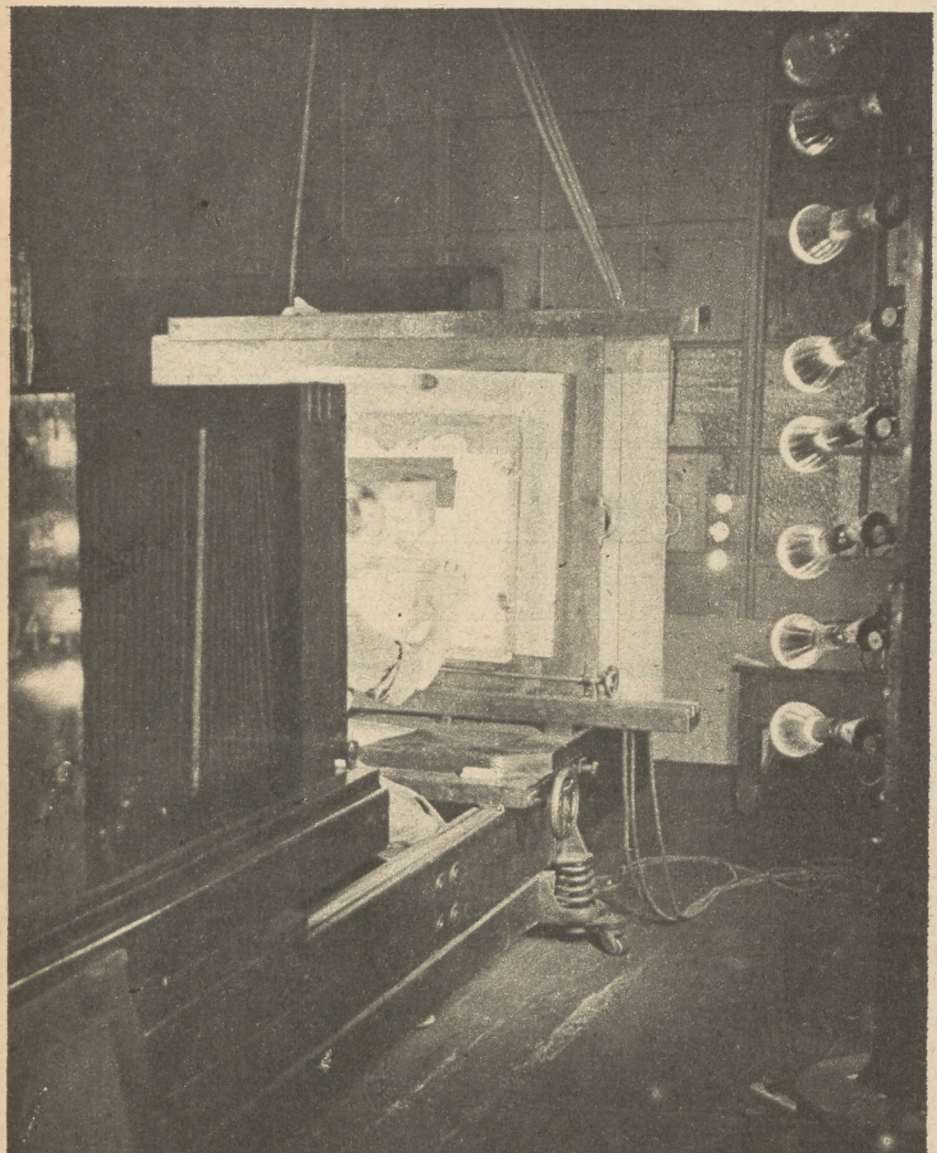
„Polskie pocztówki byłyby dla mnie bogatym materiałem pomocniczym w pracy pedagogicznej, dzięki pocztówkom moglibyśmy lepiej poznać Waszą ojczyznę, Wasze zwycięstwa i osiągnięcia na froncie pracy. Waszą sztukę...“

Oto jeszcze jedna dłoń, wyciągnięta do uścisku. Kto ją podejmie, może właśnie ktoś z naszych Czytelników?

TADEUSZ SARNECKI



Redakcja „Przyjaźni“ dba o estetyczną szatę swego pisma. Nad wyborem najlepszego zdjęcia na okładkę zastanawia się najczęściej całe kolegium redakcyjne



„Przyjaźń“ drukowana jest w Zakładach Wkłesłodrukowych i Introligatorskich RSW „Prasa“ — Warszawa. Dla zwykłego śmiertelnika jest to tajemniczy świat chemii i fotografii. Za chwilę laborant Miedza z wybranego zdjęcia wykona negatywy



Maszynista, Henryk Ziętek, dba o to, aby druk „Przyjaźni“ był czysty i staranny.



Nakład tygodnika „Przyjaźń“ stale wzrasta i obecnie przekracza liczbę czterystu tysięcy. Maszyna nieustannie wyrzuca nowe egzemplarze i Helena Możdżyńska oraz Helena Żylak dobrze muszą się zwinąć, aby nadążyć z paczkowaniem.

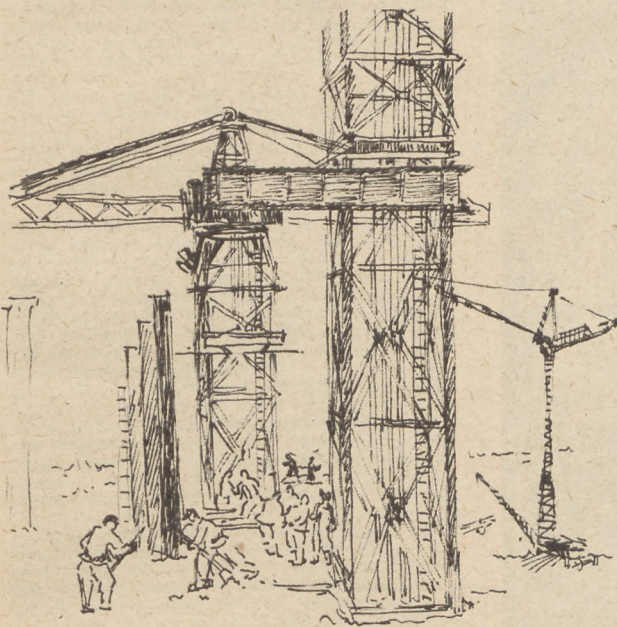
NA BUDOWIE PAŁACU KULTURY I NAUKI

Deszcz, wichura, opady śnieżne — nie przerywają ani na chwilę intensywnych prac przy budowie Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Doskonali specjaliści — robotnicy radzieccy, mający do dyspozycji najnowocześniejszy sprzęt, wzmagają jeszcze tempo prac przy montażu potężnej, stalowej konstrukcji wysokościowej części gmachu.

Zamieszczone niżej trzy rysunki z terenu budowy Pałacu Kultury i Nauki wykonała Janina Paw-Nowakowa z Krakowa.



ampan z budowy Pałacu Kultury i Nauki.
Brygadzysta na montażu



U stóp dźwigu wieżowego



Młody murarz

WIKTOR WOROSZYLSKI

NOWOTKO

Nie znałem go. Wiem od innych,
jak z towarzyszami
w wieczór ciemny i dymny,
kulejąc, siedł do Warszawy.

Jak przez mroki podziemia
świecił blask niezatarty,
jak ciężka praca codzienna
wykuwała ogniwa Partii.

Jak najmocniej wierzone — j e m u,
jak w wojny śmiertelnej orce
Jankowi Krasickiemu
był ojcem.

Jak umiał kochać za milion,
jak za milion cierpień i płonął.
Tego deszcze nie zmywają,
ogień nie pochłonał.



Kim był? Czy kometa ognista,
olbrzymem niebosięznym?
Nie. On był — komunista.
I dlatego zwyciężył.

Dziesięcioletnich harcerzy
powiewają krawaty —
to jakby tam, gdzie on leży,
wyrosły czerwone kwiaty.

TRZEBA SIĘ UCZYĆ JAK PRACUJE TRAKTOR

W 10 ROCZNICĘ ŚMIERCI MARCELEGO NOWOTKI

„Marzeniem moim było mieć zwyczajną dziecienną czapkę i całe dzieciennie buciki, i trudno mi sobie dokładnie przypomnieć, ale zdaje mi się, że to moje marzenie nie ziściło się. Ze spodniami dla mnie mama jakoś sobie radziła, ze starego przerabiała, ale bucików nie miałem” — Tak wspominał swoje dzieciństwo Marceli Nowotko, syn fornala z majątku Krasne pod Ciechanowem.

Gdy Marceli miał dwanaście lat — nie było już czasu na marzenia o czapce. Musiał pracować, podobnie jak i jego ojciec, w majątku. A kiedy starego, steranego pracą ojca wyrzucono i cała rodzina przeniosła się do Ciechanowa — na piętnastoletniego Marcela spadły obowiązki utrzymania rodziny. Chłopiec podolał im. Znalazł pracę w miejscowej cukrowni, wkrótce był już ślusarzem.

Marceli w dzieciństwie nie uczył się w szkole — nie miał przecież butów. Teraz, jako młodociany robotnik bierze się z zapałem do nauki. Z początku czyta wszystko, co mu wpadnie w ręce. Później — szuka takich książek, które mu dają odpowiedź na pytania, dlaczego jego ojca wyrzucono z majątku hrabiów Krasieńskich, dlaczego tysiące ludzi giną codziennie na frontach wojny światowej.

Tak syn fornala, ślusarz ciechanowskiej cukrowni, Marceli Nowotko, trafił do szeregów SDKPiL.

Szybko wypełniają się teraz karty biografii młodego rewolucjonisty. Za organizowanie Rad Robotniczych w Ciechanowie jest prześladowany, za agitację przeciw napaści Piłsudskiego na Rosję Radziecką — zostaje na Nowotkę wydany zaocznie wyrok śmierci.

Nowotko jest jednym z wybitnych działaczy Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (późniejsza KPP). Organizuje strajki fornali, pracuje w Łodzi, Zagłębiu, na Śląsku, w Warszawie. Sam wytrwały, niestrudzony — pociąga za sobą innych: słabym — opowiada o me-

stwie Ludwika Waryńskiego, wąpiącym — o sukcesach ludzi radzieckich.

W 1929 roku trafia Nowotko do więzienia. Wyrok opiewa na cztery lata. Już pierwszego dnia po opuszczeniu celi więziennej wraca do czynnej walki rewolucyjnej. Wkrótce — nowy areszt, rozprawa i nowy wyrok. Tym razem 12 lat.

Wielu żyjących dziś towarzyszy więziennych Marceliego Nowotki wspomina z najgłębszą wdzięcznością jego działalność w czasie odsiadki kary. W najtrudniejszych nawet warunkach, mimo prześladowań i terroru Nowotko starał się organizować w więzieniu naukę. Współwięźniowie pamiętają jego słowa:

„Trzeba się uczyć, jak powstaje miedź, co to jest ołów, cyna, jak pracuje traktor, trzeba się uczyć fizyki, chemii, matematyki. Przecież to wy będziecie przebudowywać zacoфанą kapitalistyczną Polskę. Cóż wy za gospodarze będziecie, nie znając się na gospodarce?”

We wrześniu 1939 roku komuniści polscy wyłamali bramy więzień, podjęli porzucony przez burżuazję sztandar walki o wolność, o niezależność narodową. W okupowanej Warszawie Marceli Nowotko wespół z towarzyszami: Pawłem Finderem, Małgorzatą Foralską, Bolesławem Bierutem organizuje Polską Partię Robotniczą. Pierwszym sekretarzem nowej partii, kontynuatorki dzieła „Proletariatu”, SDKPiL i KPP — zostaje Marceli Nowotko.

W okupowanej Warszawie szalał nie tylko okupant. Działali i spakobiercy Targowicy. W dniu 28 listopada 1942 roku z rąk nasłanego zbira zginął pierwszy sekretarz PPR — Marceli Nowotko.

W dziesiątą rocznicę śmierci wielkiego rewolucjonisty z czcią wspominamy imię Marceliego Nowotki, który całe swe życie poświęcił walce o to, by wszystkie dzieci chodziły do szkół, by fornali i robotnicy znali traktor i rządili państwem,



Borys Olenin w roli Jago w „Otelu”.



Kartaszowa w roli Desdemony w „Otelu”.



Mikołaj Mordwinow w roli Otella.



ERICH WEINERT

LAUREAT NAGRODY NARODOWEJ NRD

GDY w latach Republiki Weimarskiej postępowi wydawcy zwracali się do Ericha Weinerta z propozycją przygotowania do druku większego zbioru jego wierszy — poeta stał zwiekat. Zazwyczaj odpowiadał, że w tomach poezji jego wiersze wydają mu się jak „zasuszone kwiaty w zieleńniku”. Toteż gdy hitlerowcy niszczyli w 1933 roku swego najbardziej znienawidzonego wroga, postępową myśl niemiecką, utrwaloną w tysiącach książek — nie mogli spalić wierszy i pieśni Weinerta: choć w kilku skromnych broszurkach opublikowana była zaledwie część jego obfitego dorobku poetyckiego, to jednak miliony Niemców umiały jego strofy na pamięć. Niezwykłą popularnością wśród mas pracujących Weinert przetrwał współczesnych mu poetów niemieckich; niezwykła była też droga rozwoju artysty.

Urodził się w 1890 roku w Magdeburgu. Mając lat 14 uczył się ślusarki, nieco później grafiki użytkowej. Wkrótce zamienił paletę na karabin. Lata pierwszej wojny światowej są też okresem decydującego przełomu w historii jego życia. W 1918 roku Weinert jest członkiem rewolucyjnej Rady Robotniczej i Żołnierskiej.

W Republice Weimarskiej, która obejmuje spadek po rozbitym państwie Hohenzollernów, Weinert jest bezrobotny. Niebawem jednak odnajduje swe właściwe powołanie. W 1921 roku rozpoczyna się jego kariera artystyczna, rozpoczyna się na estradzie kabaretowej, najpierw w Lipsku, nieco później w Berlinie. Weinert recytuje swoje wiersze. A recytuje świetnie: głos jego jest piękny i metaliczny, dykcja — nieskazitelna, wyczuć rytmu — doskonale, siła ekspresji — ogromna. Nade wszystko jednak potrafi nawiązać bezpośredni kontakt z widownią: jako recytator i jako autor.

W kilka lat później wiersze swe mówi już nie w ciasnych salkach kabaretowych dla nielicznego grona snobów, lecz na wiecach politycznych i mityngach robotniczych przed tysiącami słuchaczy. W kilka lat później pieśni i wiersze jego są na ustach milionowych rzesz ludu pracującego.

Od samego początku swej twórczości Weinert dba o zwięzłość i prostotę wyrazu artystycznego, o język jak najbardziej zbliżony do języka ludu. W pierwszych swoich utworach ogranicza się do ostrej, satyrycznej krytyki niemieckiej burżuazji i drobnomieszczaństwa. Od 1924 roku jest członkiem Komunistycznej Partii Niemiec. Odtąd słowo jego nabiera coraz szerszego rozmachu, coraz większej siły. Staje się kronikarzem poetyckim codziennej walki niemieckiej klasy robotniczej.

Z niezwykłą szybkością potrafił Weinert w twórczości swojej reagować na aktualne wydarzenia polityczne. Niekiedy wiersze jego powstawały na kilka godzin przed wiecem, niekiedy improwizowane były w czasie zebrania.

Pomimo niezliczonych prześladowań ze strony reakcji weimarskiej — poeta nieustannie nawoływał klasę robotniczą do walki ze wzmagającą się groźbą faszyzmu, demaskował międzynarodowy kapitał dążący do nowej wojny.

Gdy faszyzm objął władzę w Niemczech — Weinert zmuszony był emigrować. Na wygnaniu powstają jego najmocniejsze, najgłębsze cierpieniem natchnione wiersze. Są one drogą nielegalną posyłane do Niemiec i krążą w tysiącach odbitek w kraju opanowanym przez brunatną przemoc. Pieśni Weinerta rozbrzmiewają na hiszpańskich polach bitew, a autor tych pieśni nie ogranicza się do walki z faszyzmem samym słowem; wstępuje w szeregi niemieckich ochotników Brygady Międzynarodowej.

W latach drugiej wojny światowej poeta prawie codziennie mówi swe wiersze przed mikrofonem radia moskiewskiego. Weinert bierze udział w bitwie stalingradzkiej. Teraz jego słuchaczami są niemieccy żołnierze w okopach hitlerowskich: poeta mówi swe wiersze — niekiedy w odległości zaledwie kilkuset metrów od wrogich okopów — przez megafony i głośniki, naprędce montowane przez radzieckich saperów.

W 1946 roku Weinert powrócił do ojczyzny. Nadal w swoich utworach — już rzadszych z powodu ciężkiej choroby — wyraża wolę i nadzieje najlepszej części narodu niemieckiego. W jednym z pierwszych wierszy napisanych po powrocie do Niemiec ostrzega przed neohitleryzmem, już wówczas panoszącym się w strefach zachodnich.

W październiku br., w trzecią rocznicę utworzenia Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Erich Weinert odznaczony został przez rząd NRD nagrodą narodową pierwszego stopnia.

U nas, niestety, dzieło tego wybitnego poety niemieckiej klasy robotniczej jest jeszcze prawie nieznanne. Kilka wierszy zawartych w antologii „Niemiecka satyra antyfaszystowska” — oto wszystko, co udostępniło dotychczas czytelnikowi polskiemu z jego twórczości. Mamy nadzieję, że przełożenie wyboru jego wierszy na język polski jest jednak tylko kwestią czasu.

MARCELI RANICKI

TEATR

NOWEGO ŻYCIA



Scena ze „Sztormu” Billa-Bielocerkowskiego.



Scena z „Maskarady” Lermontowa.



Scena z „Otelu” Szekspira.



Andre Stil, znany pisarz i redaktor naczelny l'Humanite, podpisał tego dnia wiele swoich książek. W sprzedaży pomagała mu dzielnie pieśniarka, Marta Laurance

6 GODZIN KSIĄŻKI

Korespondencja własna „Świata“ z Paryża

OD STACJI metra „Grenelle“ w każdą prawie niedzielę zdążają w kierunku Pałacu Sportowego ogromne tłumy.

Tutaj — w potężnej hali Vel d'Hiv* — odbywają się wielkie spotkania bokserkie, poprzedzone pół tuzinem wstępnych walk. Tutaj odbywają się sześciodniówki kolarskie i mecze hokejowe.

Tutaj również lud Paryża niejednokrotnie wyraża swoje uczucia — wtedy, gdy ze śródmieścia i przedmieść tysiące ludzi schodzą się na wielki wiec; gdy na trybunie staje Jacques Duclos.

Historia Vel d'Hiv jest właściwie małą historią Paryża. Nie ma chyba nikogo, kto nie wiedziałby, gdzie jest Vel d'Hiv. Prawie wszyscy znają tę potężną, wielopiętrową halę, i nikt nie dziwi się popularnemu pieśniarzowi Ives Montand, że jedną ze swych piosenek poświęcił właśnie Pałacowi Sportowemu — Vel d'Hiv.

25 października otworzył w dziejach Vel d'Hiv nową kartę. Tutaj, w największej sali Paryża, odbyła się tego dnia sprzedaż książek, zorganizowana przez francuski Narodowy Komitet Pisarzy — C. N. E.

PO RAZ ÓSMY...

Narodowy Komitet Pisarzy powstał w czasie okupacji hitlerowskiej. Grupował literatów walczących z okupantem, wydawał nielegalne poematy Aragona i Eluarda i wiele utworów innych pisarzy-patriotów. Niejeden z nich padł od faszystowskiej kuli. Ci, którzy żyją — walczą nadal o suwerenność swego narodu, godność człowieka i pokój świata. Po wyzwoleniu Komitet ogarnął wszystkich uczciwych ludzi pióra. Co roku zrzeszeni w nim pisarze organizują tradycyjną sprzedaż książek. Dochód przeznaczony jest przede wszystkim na pomoc dla młodych literatów.

Impreza C. N. E. cieszy się coraz większą popularnością. W warunkach przymusowego importu gangsterskiej „literatury“ ze Stanów Zjednoczonych — ma to szczególną wymowę. Jest to protest przeciw atlantyckiej petli i wielka manifestacja żywotności francuskiej kultury narodowej.

W roku 1945, w hotelu „Berryer“ odbyła się „premiera“ C.N.E. W latach następnych miejscem dorocznej sprzedaży książek był „Maison de la Pensee“. Ale i ten obszerny lokal okazał się zbyt ciasny. Podobnie jak zbyt

*) Jest to skrót od słów Velodrome d'Hiver, co znaczy po polsku: „Wielodrom zimowy“.

ciasne okazały się salony Palais d'Orsay, do których przeniesiono się w ubiegłym roku.

— Co robić? — zastanawiali się organizatorzy. Na zebraniach C.N.E. radzono, dyskutowano, aż wreszcie padło magiczne słowo: Vel d'Hiv. Rzuciła je Elsa Triolet, która jest niestrudzoną inicjatorką dorocznych „6 godzin książki“.

Rozpoczęła się ogromna praca przygotowawcza. Wokół wspaniałej kurtyny, namalowanej przez Picassa, zakrzętneli się robotnicy. Przewodzili im architekci: Ropp i Jean Nicolas, nadając największej hali Paryża atmosferę radości i dobrego smaku. Specjalny zespół trudził się przez całe dwie doby nad dostarczeniem książek.

25 PAŹDZIERNIKA

W Vel d'Hiv mieści się 30 tysięcy ludzi. 25 października 30 tysięcy ludzi przybyło na imprezę C.N.E. Był to wielki sukces wszystkich tych, którzy walczą o literaturę postępową i piękną, i cieszą się z jej osiągnięć. Była to również wielka manifestacja sympatii, jaka prosi ludzkie darzą pisarzy i artystów służących sprawie pokoju i ludzkiego szczęścia.

Jest już zwyczajem imprez C.N.E., że pisarzom, podpisującym swe książki, towarzyszą aktorzy. I jedni i drudzy byli w tym roku głęboko wzruszeni przyjęciem, jakie zgotował im lud Paryża.

Pisarz Henri Bazin uczestniczył po raz pierwszy w „6 godzinach książki“. Sprzedawał on powieść, której tematem jest walka spalarizowanej kobiety ze swoją straszną chorobą. Do Bazina podszedł jakiś robotnik.

— Nie mam pieniędzy na książkę, ale proszę pana o podpis...

Robotnik wyciąga do pisarza młotek. Bazin składa podpis na drewnianej rekojeści i ma łzy w oczach.

KILKA CYFR

25 października, w 6 godzin, 30 tysięcy ludzi kupiło książki za 5 milionów i 253 tysiące franków. (W zeszłym roku suma osiągnięta ze sprzedaży wyniosła łącznie 2 miliony 700 tysięcy franków).

Ale najważniejszy jest — mówią organizatorzy i uczestnicy „6 godzin książki“ — nasz sukces moralny. Serdeczny kontakt pisarzy i czytelników pomoże im jeszcze bardziej zbliżyć się do siebie, lepiej zrozumieć się i lepiej się poznać.

A na tym przecież polega siła sztuki, służącej ludowi i jego wielkiej sprawie.

FRANCIS CREMIEUX



Widok ogólny hali Pałacu Sportowego, gdzie odbywa się doroczny kiermasz Narodowego Komitetu Pisarzy. Na pierwszym planie — dzieła Victora Hugo i Emila Zoli.



Wybitny krytyk filmowy, Sadoul, ofiarowuje Sydneyowi Chaplinowi swoją książkę „Vie de Charlot“ (Życie Chaplina). Jest to książka o ojcu Sydneya, Charlie Chaplinie



Otoczona dziećmi wychodźstwa polskiego, Bouissonouse sprzedaje powieść „Natalie“, której treścią są sprawy polskie. Bouissonouse nieraz odwiedzała nasz kraj.



Przy sprzedaży książek: Louis Aragon, autor wielotomowego dzieła p. t. „Komunisty“, i aktor Noel (pamiętajcie na pewno jego doskonały film „Parada Natrętów“).

LEKCJA W HARASIMOWICZACH

JEST daleko, daleko miasteczko Kamieńsk Uralski. Jest w tym miasteczku ulica im. Grzegorza Kunawina.

I jest bliżej, znacznie bliżej, koło Sokółki, w województwie białostockim, wieś Harasimowicze. Niewielka podlaska wieś, w której ślany chat nie zdążyły jeszcze poczerpieć. Przed wojną liczyła ona 47 gospodarskich zagród. Po wojnie zostało ich tylko trzy. Resztę spalili hitlerowcy.

W Harasimowiczach, pośród nowowbudowanych budynków, jest szkoła. Nowy, niewielki budynek. A na jego ścianie widzimy tabliczkę: „Szkoła podstawowa im. Grzegorza Kunawina w Harasimowiczach”.

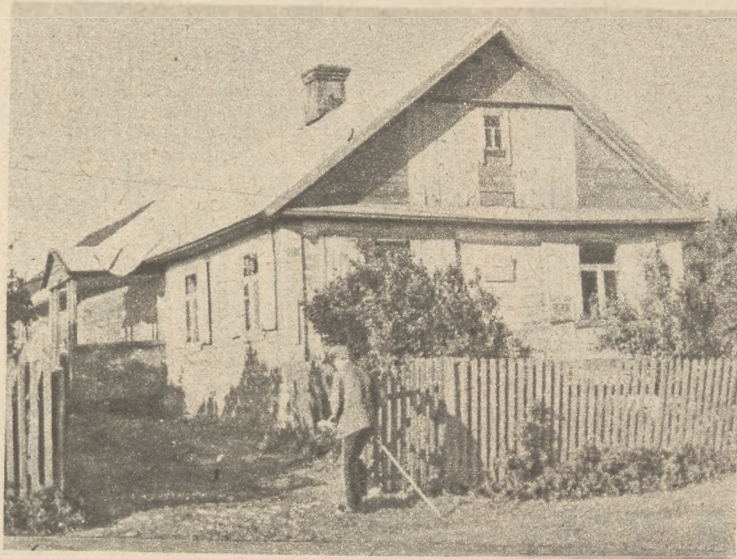
Jakież losy przeniosły nazwisko jednego człowieka spod uralskich gór do podlaskiej wioski? Można by pytać o to różnych ludzi, można by wieści o tym szukać w różnych źródłach. Zajrzyjmy jednak najlepiej do owej szkoły w Harasimowiczach, w dzień, kiedy po letnich wakacjach rozpoczynają się zajęcia szkolne.

Zobaczmy, jak jedna z uczennic szkoły pisze na tablicy starannie kaligrafiowanymi literami: „Żołnierz radziecki, Kunawin, to bohater”. A później ze słów nauczycielki, słów, których z zapartym oddechem słuchają dzieciaki, poznajemy historię bohatera.

Kończyła się już hitlerowska władza na polskich ziemiach. Nad Harasimowiczami, jak i nad innymi miasteczkami i wsiami Polski, przewalała się jeszcze raz wojenna nawała. Nocami uciekali Niemcy, toczyły się na zachód owe „niezwykłe” pancerne kolumny. Szosami i drogami sznurem jechała oślawiona „technika”. A na wzgórzu, panującym ponad harasimowickimi łąkami, zasiadła obsługa niemieckiego karabinu maszynowego.

Uparcie bronili się hitlerowcy. A najuparciej właśnie owa obsługa karabinu maszynowego, w okopie na szczycie wzgórza. Strumieniem ołowiu zalewała łąkę. A przez tę łąkę musiały przejść oddziały Armii Radzieckiej prące na zachód, w stronę Warszawy, Berlina...

Nocą wybrał się na ostatnią swą wyprawę starszy strzelec, kolejarz z cywi-



Jest w Harasimowiczach szkoła, a na jej ścianie tabliczka: „Państwowa szkoła im. Grzegorza Kunawina w Harasimowiczach”.



la, z wioski Bajny pod Kamieńskiem Uralskim rodem, Grzegorz Kunawin. Koło starego młyna podczołgał się do wzgórza. W rękę ścisnął granat, by rozbić nim gniazdo przeklętego karabinu maszynowego, który zamykał drogę do zwycięstwa, do Warszawy, do Berlina. Powoli czołgał się Kunawin po zboczu wzgórza, dotarł niemal do samego gniazda CKM-u. I rzucił granat.

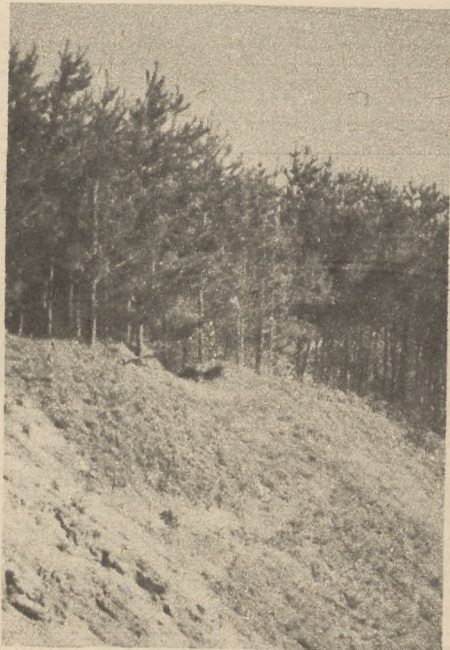
Ale, jak się to na wojnie zdarza, granat nie wybuchł. A w okopie podniesiono alarm. Znow ulewa kul załala przedpole, poprzez które posuwali się towarzysze broni Kunawina.

I wtedy bohaterski żołnierz radziecki uczynił to, co przed nim już raz uczynił bohater Związku Radzieckiego, Aleksander Matrosow.

Rzucił się na gniazdo karabinu maszynowego. Własnym ciałem zasłonił kulom drogę pomiędzy szeregi atakujących towarzyszy.

Wzgórze wzięto. Hitlerowcy uciekli. Spędzona przez nich ludność spalonych niemal doszczętnie Harasimowicz uszła z życiem. Droga do zwycięstwa, droga do Warszawy, do Berlina stała znowu otworem dla bohaterskich żołnierzy radzieckich.

Jest w dalekim Kamieńsku Uralskim ulica imienia Grzegorza Kunawina, bo-



Na wzgórzu, panującym nad wioską, zasiadła obsługa niemieckiego CKM-u.

hatera Związku Radzieckiego. Jest w Harasimowiczach na cmentarzu mogiła bohatera i jego towarzyszy, poległych w tej samej co on bitwie.

Jest w Harasimowiczach, pośród niepoczerpniętych nowych chat, budynek szkoły, na którym czytamy:

„Szkoła podstawowa im. Grzegorza Kunawina w Harasimowiczach”. I w tej właśnie szkole, co rok na pierwszej lekcji, nauczycielka Stanisława Rodziewicz opowiada dzieciom historię bohatera, którego imieniem nazwana została szkoła.

Na zachód, ku zwycięstwu poszli żołnierze z oddziału Grzegorza Kunawina, uroniwszy skąpą łąkę nad mogiłą towarzysza broni. Co rok w świat szeroki, ku nowemu życiu wychodzą ze szkoły tej młodzi obywatele Polski Ludowej. Tej właśnie Polski, o którą walczył bohaterski Kunawin i jego towarzysze.

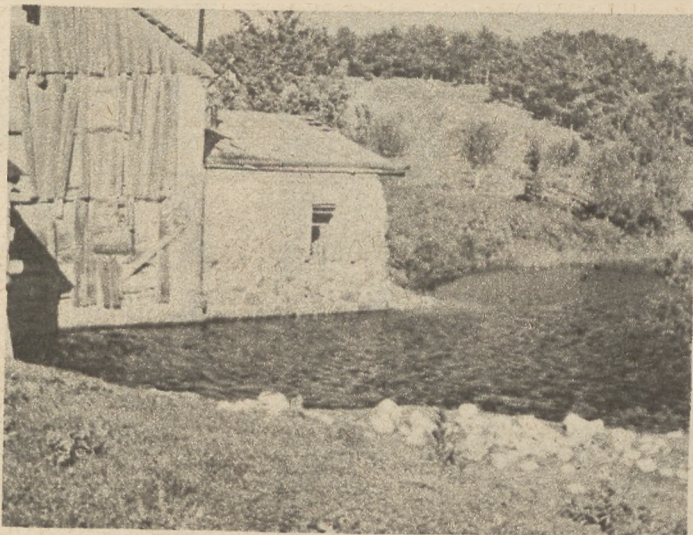
Dzieci w Harasimowiczach starannie opiekują się grobem bohatera, stroją go kwiatami i wstęgami. I co roku na pierwszej lekcji po wakacjach płynie z ust nauczycielki opowieść o bohaterskim żołnierzu radzieckim, który zginął świadomy tego, że życie swe ofiaruje za zwycięstwo swej ojczyzny, za wyzwolenie i za jasną przyszłość Polski Ludowej i wszystkich jej synów.

JAN DĄBROWSKI

Fot. R. Kwiatkowski



Strumień ognia i ołowiu zalewał łąkę, przez którą musiały przejść oddziały radzieckie prące w stronę Warszawy i Berlina



Koło starego młyna czołgał się ku wzgórzu starszy strzelec Armii Radzieckiej, Grzegorz Kunawin, z granatem w ręku...



Na cmentarzu w Harasimowiczach dzieci stroją kwiatami mogiłę bohatera.

Z WIERSZY „DROGA DO KOMUNIZMU”

Mieliśmy życie nienajgorsze, wierzaj!

Wraz z nami niebywałe czyny rosły.

Nam, nowym ludziom, nowy czas odmierzał
odmienną miarą każdą rzecz radosną.

Z przeszłości jak z ciemnicy wyzwolony
wyrwał się człowiek w nieśmiertelne dzieje.

To jego pieśń na całą ziemię dzwoni
i wyzwolone serce promienieje.

Nie wiem, czy podróżnicy i odkrywcy
podobnie tyle dróg ugorzonych przeszli.

Lecz odkrył taki kraj nasz wzrok zdobywcy,
O jakim nawet Kolumb nigdy nie śnił.

Wszystko jest dla nas i młode, i nowe.

Tego na świecie dotychczas nie było.

O każdej chwili trzeba twórczym słowem
dać imię temu, co powstaje z siłą.

W historii mamy ten zaszczytny udział
przez nas, odkrywców dróg, zdobyty mocno,
żeby z przyszłości wziąć i podać ludziom
o komunizmie pierwszą wieść radosną.

Przełożył: GRZEGORZ TIMOFIEJEW

MIKOŁAJ RYLENKOW

OJCZYZNA RADZIECKA

Twoje ścieżki jak z pieśni słowo
powtarzałem w pamięci nieraz.

Więc dziś, gdy przemierzam je znowu,
do najbardziej skrytej docieram.

Dokądkolwiek idę po kraju,
jakikolwiek sen się cieleśni —
i rzeki i źródła poznaję
i śpiewane przez ptaka pieśni.

Objąłem nie tylko z dziedzictwa
pola, łąki, lasu załomy —
zdobywałem w ząbanych bitwach
kąć każdy od dziecka znajomy.

Weź mnie teraz, doświadczaj trudem!
Uczynię, co każesz. Odnajdę
w płaskach źródło i w górach rudę,
a w sercu mym słowo zwyczajne.

Mój dom wspominając w ziemiankach
spać umiałem, choć grzmiały działa —
i bieć do ataku na tanki,
gdy walka mnie ze snu zerwała.

Moją krwią płonęła kalina
i jak w dawnej bajce zawilej,
nim dotarłem do bram Berlina,
po stokroć konałem, a żyłem.

Przeszedłem połowę Europy
i wróciłem na żniwną porę:
rośnie żyto tam, gdzie okopy,
zamiast czołgów jadą traktory.

Przełożył: GRZEGORZ TIMOFIEJEW

I TĘDY PRZENIEŚLI NADZIEJĘ...

ST. RYSZARD DOBROWOLSKI

Bukareszt, jesień 1952

POSEPNY, chmurny poranek, niecodzienny tu o tej porze roku, towarzyszył nam w drodze do Doftany. Kiedy zatrzymaliśmy się u bram mrocznej, szarej, na poły leżącej w gruzach budowli, którą kapitalistyczna tyrania przeznaczyła na grób rumuńskiego ludu, a której ruiny wznoszą się dzisiaj nad rozległą okolicą jako wstrząsający do samej głębi pomnik rewolucyjnej walki i cierpienia rumuńskiego narodu, mżył drobnuteńki deszcz.

Zdegenerowana wyobraźnia nikczemników, katów najlepszych synów rumuńskiego ludu, odczytywała w słowach napisu nad bramą kaźni „Wieżenie w Doftanie” okrutne zdanie z „Boskiej Komedii”:

„Lasciate ogni speranza!” — „Porzućcie wszelką nadzieję!”.

„Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzić!”.

Wchodząc najgłębiej wzruszony, aż do bólu wstrząśnięty, w bramę dawnego więzienia w Doftanie — owej straszliwej katowni, gdzie najemni siepacze z bezprzykładnym sadyzmem pastwili się niegdyś nad nieugiętymi rumuńskimi patriotami, żarliwymi, bohaterskimi rewolucjonistami, myślałem wciąż tylko o jednym — myślałem tylko o tym, jak trudno było przenieść przez tę piekielną bramę i przez te korytarze, w ludzkim, obolałym sercu, nienaruszoną wiarę i nadzieję.

Jak trudno było zachować w mrokach ponurych, ociekających wilgocią cel Doftany gorącą wiarę komunisty w przyszłość, ostateczne zwycięstwo świętej sprawy wolności i socjalizmu, wśród — zdawałoby się — beznadziejnej nocy bestialskiego ucisku budzić w sobie żywą nadzieję innego, jasnego jutra. Jakże trudno było wśród najbardziej wyrażonych tortur przez długie, długie lata zachowywać tę nadzieję jak werse-ty z „Manifestu Komunistycznego”, zapisywane na maleńkich bibułkach z papierosów — jakże trudno było ją nieść w głębinach dusz, skrywać przez lata męczarni, aby kiedyś wyjść z nią na światło dnia, w jej imię walczyć, zwyciężać i budować. Budować nowe życie.

A jednak! A jednak przecież to tam właśnie, w karczerach Doftany, wśród nieludzkiej męki, w straszliwych bólach rodziła się dzisiejsza Rumunia, kraj wolności i radosnego, socjalistycznego budownictwa. I wprost nie chce się wierzyć w tę prawdę.

Z głębokim wzruszeniem stałem u progu celi, w której jakże długie dni i noce, pełne zniecierpliwienia gorącego serca, przepędził najlepszy syn rumuńskiego narodu, towarzysze Gheorghiu-Dej.

To przecież tu w marzeniach więźnia rodziły się wielkie plany przyszłej przebudowy życia narodu rumuńskiego.

Cela w Doftanie, w której więziony był Gheorghiu-Dej.

„Nada mieczta!” — powiedział Lenin — Trzeba marzyć! Marzyć trzeba zawsze i wszędzie.

Być może — myślałem — że to tu właśnie, w obliczu męczeńskiej śmierci i zarazem nigdy niewygasającej wiary w rzeczywistość, nie mistyczną, ale bardzo konkretną nieśmiertelność dzieła człowieka, rosły marzenia o uprzemysłowieniu Rumunii, o wyzwoleniu biednej Dobrudży spod tyranii przyrody, o budowie wielkiego kanału, łączącego Dunaj z Morzem Czarnym — kanału, który z zarażonych malarią mokradł i porośniętych jedynie bodiakami pustynnych obszarów uczyni Dobrudzę kwitnącą i urodzajną krainą.

Tu właśnie twórcza wyobraźnia bojowników socjalizmu wznosiła w myślach wielkie zakłady przemysłowe, potężne elektrownie, organizowała kolektywne gospodarstwa wiejskie, takie jak to, które oglądałem w Valea Rosie — w Czerwonej Dolinie, rwała pęta z ramion rumuńskiego ludu.

Tu właśnie — w tej oto dawnej kaźni — wśród najtańszych narad pod okiem szpiclów — bestii pisała się wielka karta praw narodu rumuńskiego — Konstytucja Rumuńskiej Republiki Ludowej.

Tu się rodziło to nowe.

Nocą przez kraty maleńkiego okienka przyświecała więźniowi daleka gwiazda — ta sama czerwona gwiazda, która jasno rozbłysła nad murami Kremla, gwiazda wolności i pokoju; poprzez mury więzienia dobiegał głuchy pomruk ludowego gniewu i łoskot pracy pobliskich fabryk.

— I one to — gwiazda i krzyki buntu i odgłosy człowieczej pracy — podsycały płomień nadziei w sercach komunistów — więźniów faszystowskiej kaźni w Doftanie.

Ta sama gwiazda i te same krzyki buntu i odgłosy człowieczej pracy, które krzepiły i nadal krzepią w walce i pracy serca wszystkich bojowników wolności i pokoju w świecie, serca bojowników socjalizmu w Rumunii i w Polsce, we Francji i w Korei — wszędzie, na całym globie ziemskim.

Tak myślałem stojąc u progu celi towarzysza Gheorghiu-Dej w Doftanie.

Powoli, powoli wiatr rozpędzał chmury i jesienne słońce rozświecało poczęło pruć, strąskane przez trzęsienie ziemi mury Doftany i okoliczne, rozległe doliny, tętniące wrzawą i łoskotem swobodnej pracy wolnych już dzisiaj Rumunów.

I to było moje najgłębsze przeżycie, w którym zamyka się istotny sens i treść moich wrażeń z ojczyzny wielkiego pisarza rumuńskiego narodu — Jona Caragiale.

DROGA PRZEZ LUDZKĄ SIŁĘ

Korespondencja własna „Świata” z Chin

WJECHALIŚMY z Pekinu wczesnym październikowym rankiem.

Nasz pociąg ma bardzo specjalny charakter. Jedzie nim część delegatów, którzy po zakończeniu obrad Kongresu Obróńców Pokoju narodów Azji i Pacyfiku, postanowili zwiedzić Chiny. Łatwo powiedzieć „zwiedzić Chiny” — trochę trudniej to wykonać. Przecież Chiny, to kraj wielkości Europy, a czasu mamy niewiele. Czeka nas więc jedynie objazd kilku miejscowości i ich okolic. Ale i to zajmie nam niemal miesiąc czasu.

Ludzie w pociągu reprezentują 7 krajów. Amerykanie, Vietnamscy, Kanadyjczycy, delegaci Laosu, Taj, Malajów, Japonii przylepiłi się do okien i chłoną zmieniający się raz po raz chiński krajobraz. Wystarczy na kilka godzin oderwać się od szyb okiennych, aby potem ze zdumieniem skonstatować ogromną różnicę widoków. Więc jedziemy.

Przymknij, Czytelniku, oczy i przypomnij sobie z lekcji geografii lub z książek opowiadania o chińskich chłopach w zabawnych, przypominających płaski stożek, słomianych kapeluszach. Tak jest nie tylko na obrazach, oto małe pólka, pokryte sterczącymi źdźbłami i badiami po uprzągniętych kulturach rolnych, a na nich — jak pracowite mrówki — mężczyźni w takich właśnie kapeluszach z fotografią, kobiety pochylone nad sнопami słomy i piękne, jak z obrazka, chińskie dzieci z szeroko rozwartymi buziąmi, spoglądające na nasz pociąg. Ten obraz jest znany i oklepany. Jest w nim ta egzotyka, która absorbowała zawsze naszą wyobraźnię. Ale zaraz, o kilka kilometrów dalej, obraz się zmienia. W rozległym wykopie, pośród mniejszych i większych nasypów ziemi, widać nie kończące się szeregi ludzi. Kolyszą się na ra-

mionach tyczki z zawieszonymi na obu końcach koszykami. Co robią? Nowe, sztuczne jezioro, jedno z setek czy tysięcy budowanych dziś w Chinach? Być może, uśmiechniesz się, Czytelniku, z pobłażliwą ironią: czyż można koszykami i łopatami wykonać pracę, wymagającą potężnych, nowoczesnych maszyn? Nie uśmiechaj się sceptycznie, bo nie znasz pracowitości i zapалу, jakie w chińskim narodzie zbudziła iskra rewolucji, przemieniona w płomień. W kilka dni po tym niecodziennym widoku z okien wagonu, widziałem już nie tylko sztuczne jeziora, ale potężne śluzy, tamy, zapory i kanały, zbudowane tak właśnie: rękami i łopatkami. I to jest ta nowa egzotyka chińskiego krajobrazu: obok malutkiego ryżowego pólka — olbrzymia nowoczesna budowla, wykonana prymitywnymi narzędziami pracy.

Nie ma bowiem jeszcze dostatecznej ilości maszyn, dźwigów, kopaczek. Zbyt długo rządili w Chinach przedstawiciele monopolu i banków, przekształcając je w kraj kolonialny, aby już dziś starczyło nowoczesnych urządzeń dla okiełznanania przyrody. Chłop i robotnik chiński poczuł się wolny, a to oznacza, że poczuł się silny i niewyczerpany, że nie istnieją już dlań żadne trudności, których nie zdołałby pokonać. Więc na razie do walki o nowe życie idzie się tu z gołymi rękoma, ale już w niedalekiej przyszłości rękami i woli ludzi przyjdą z pomocą maszyny, produkowane w chińskich fabrykach, z chińskich surowców.

Oto na horyzoncie snuje się dym. To komin fabryczny. Być może, właśnie tam rodzi się w tej chwili jakaś część przyszłego dźwigu, który pomoże przyspieszyć pochód w przyszłość. Oto raz po raz migają za oknem wagonu piece i zabudowania cegielni, nie kończące się sterty cegieł. Chiny

rosną. Chiny rozbudowują się. Te cegielnie i cegły ułożone wzdłuż linii kolejowych, to jakby symboliczne drogowskazy tej przyszłości.

W Nankinie byliśmy krótko. Obejrzelismy miasto, poznaliśmy piękno jego okolic, zapoznaliśmy się z codziennym życiem jego mieszkańców. Cóż więc napisać o wrażeniach. Zewnętrznie miasto nie jest atrakcyjne. Nie ma ani ładnych ulic, ani ładnych zabytkowych domów. Egzotyka chińskiej architektury została usunięta w cień silem się na europejskość za czasów rządów kuomintangowskich. Każdy kuomintangowski urzędnik, któremu stanowisko pozwalało ściągać łapówki, lub po prostu kraść, wyłaził ze skóry, by zbudować sobie taką willę, jaką miał jego amerykański mocodawca. Bije z tych domów sztuczny, fałszywy przepych, jaskrawo kontrastujący z nędznymi lepiankami, w których gnieździły się rodziny nankińskiej biedoty.

Rozmawiałem w Nankinie z Lu Fuan-szją, jedną z robotnic fabryki włókienniczej. Historia życia tej kobiety i jej rodziny, to chyba najjaśniejsza ilustracja przeszłości tego miasta. Lu Fuan-szja miała jedną siostrę i dwóch braci. Siostra jej została jeszcze w dzieciństwie sprzedana przez rodziców do domu publicznego. Jak to się stało? W odpowiedzi na to pytanie Lu Fuan-szja wzrusza ramionami. — Takie było nasze życie — mówi. — Wtedy był głód, rodzice nie mieli pracy. Obaj starsi bracia, którym udało się jakoś urządzić w fabryce, zarabiali razem tyle, ile starczyło na zakup, dosłownie jednej miseczki kukurydzy dziennie. Ojciec nie miał ani kawałka ziemi, a był już zbyt stary i chory, aby wziąć się za jakąś cięższą pracę. I moją siostrę sprzedano. — Lu Fuan-szja, opowiadając historię swej rodziny, ma złe, niemal okrutne oczy. Tli w nich zacięta, paląca nienawiść do tych, co przez długie lata życia chińskiego robotnika przekształcali w pasmo niedoli i pohańbienia. Ale Lu Fuan-szja nie pałała bezczynnie na nieszczęścia, spadające na nią i jej rodzinę. Przy pierwszej sposobności związała swój los z walką o wyzwolenie. Była w armii partyzanckiej, walczyła w szeregach Trzeciej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej nad brzegami rzeki Hwai, zanim została ciężko ranna w bojach na przedpolu Szanghaju. Jako strzelec wyborowy, zabiła ona czterdziestu siedmiu wrogów.

— Kiedy chwyciłam na muszkę kuomintangowskiego zdrajcę, zamierało we mnie serce. Zawsze bałam się, że chybię — mówi w zamyśleniu. — A chybić nie było wolno. Przecież każdy celny strzał zbliżał chwilę wyzwolenia, każdy był zapłatą za cierpienia ojca, matki i braci, za gorzki, okrutny los mojej siostry.

Lu Fuan-szja wyciera ściereczką strużkę herbaty, sącząc się po nowym, polerowanym stole w jej nowym mieszkaniu. To wszystko oprowadza oczyma.

— Mieszkanko otrzymałam dzięki władzy ludowej. Dziś jestem potrzebną, wartościową członkinią społeczeństwa. Mam fach i pracę swoich rąk utrzymuję siebie i starych rodziców. Moi bracia nie muszą już żebrać o pracę. Jeden z nich jest teraz w armii, drugi pracuje w Nankinie w fabryce maszyn. Jeśli będziecie tam, to na pewno go zobaczycie. Jest jednym z najlepszych tokarzy.

— A siostra?

— Siostra pracuje w Hankou jako przadka w fabryce jedwabiu, i — jak pisała mi ostatnio — zdobyła już tytuł przodującej robotnicy.

Byłem w fabryce maszyn, nie spotkałem brata Lu Fuan-szji. Pracował w innej zmianie. Ale spotkałem tam dziesiątki i setki ludzi, którym władza ludowa dała pracę i stworzyła lepsze warunki życia. Szedłem przez hale fabryczne, te stare, w których czuć stęchłą przeszłość, i te nowe, jasne, przestronne, zbudowane z myślą o ludziach, którzy tu pracują. Obok, ściskając mocno moją dłoń, szedł Czu Szui-gen, tokarz, wysunięty od czterech miesięcy na stanowisko zastępcy kierownika oddziału mechanicznego. W uścisku jego twardej ręki było coś tak bliskiego i serdecznego, że zapomniałem nawet o obowiązkach reportażysty — notowania prowadzonych rozmów. Ale mimo to nie mogłem zapomnieć słów Czu Szui-gen. Wkładał w nie przecież cały żar swego serca, cały swój entuzjazm i radość.

— Nie uwierzysz, patrząc na naszą fabrykę, że przed trzema laty była to niewielka brudna fabryczka, której jedynym zadaniem było montowanie amerykańskich części rękami chińskich robotników po to, by zysk jakiejś nowojorskiej firmy był trzykrotnie większy. A dziś Czu Szui-gen zatrzymuje się przy grupie robotników, montujących nowe tokarki.

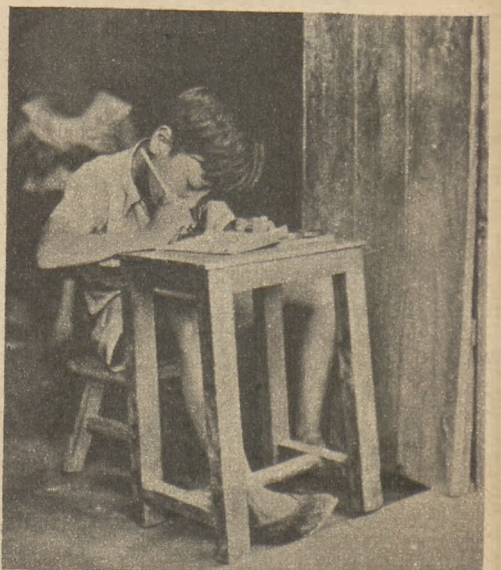
— Przeczytaj to — dotyka palcem błyszczącej mosiężnej tabliczki z wytłocz-



Wycieczka szkolna zwiedza wystawę w Tientsinie. Chiński rząd ludowy rozpoczął

nym! hieroglifami. — Taka jest nazwa naszej fabryki. To my własnymi rękami produkujemy te piękne maszyny. — I pomyśleć tylko, że jeszcze trzy lata temu montowaliśmy jedynie najprostsze maszyny rolnicze.

I to jest ta wielka prawda o Nankinie, jaką poznaliśmy w ciągu krótkiego pobytu. Miasto zmieniło oblicze. Rośnie przemysł, rośnie budownictwo, a to znaczy, że rośnie armia robotników, decydujących o prze-



Dzisiaj jest to już widok powszedni: chłopiec chiński uczy się — odrabia lekcje.

Yang-ko, ludowy taniec chiński. W wyzwolonym kraju każdy człowiek pracy staje się współtwórcą narodowej kultury, opartej na wspaniałych, wielowiekowych tradycjach.



SRDECZNOŚĆ



Wielką batalię o oświatę dla każdego obywatela, wielką bitwę przeciwko ciemnocie, w jakiej utrzymywane były masy za czasów panowania rodzimej i obcej reakcji.

W Nankinie. Bo tu nawet przyroda się zmienia. Wysokie wzgórza, otaczające miasto, stały się ulubionym miejscem wypoczynku i spacerów mieszkańców Nankinu. W pięknym parku, nad brzegami kilkunastu stawów i małych jezior, siedzą wieczorami ludzie pracy i zapominają powoli o tym, że jeszcze przed trzema laty kuomintangowski policjant przepędziłby ich stąd. Teraz, by nie psuli wesołego nastroju szanghajskim sprzedawcykom.

Cicho i uroczyście szeleszczą drzewa wzdłuż drogi, wiodącej do Mauzoleum Sun Jiat-sena. Ludzie przychodzą tu często, aby z wysokości wzgórza spojrzeć na miasto i czyste wielkiego patrioty. I myśmy na nie patrzyć. Rozrzucone w malowniczej kotłowni, strzelało w niebo dymem fabrycznych kominów.

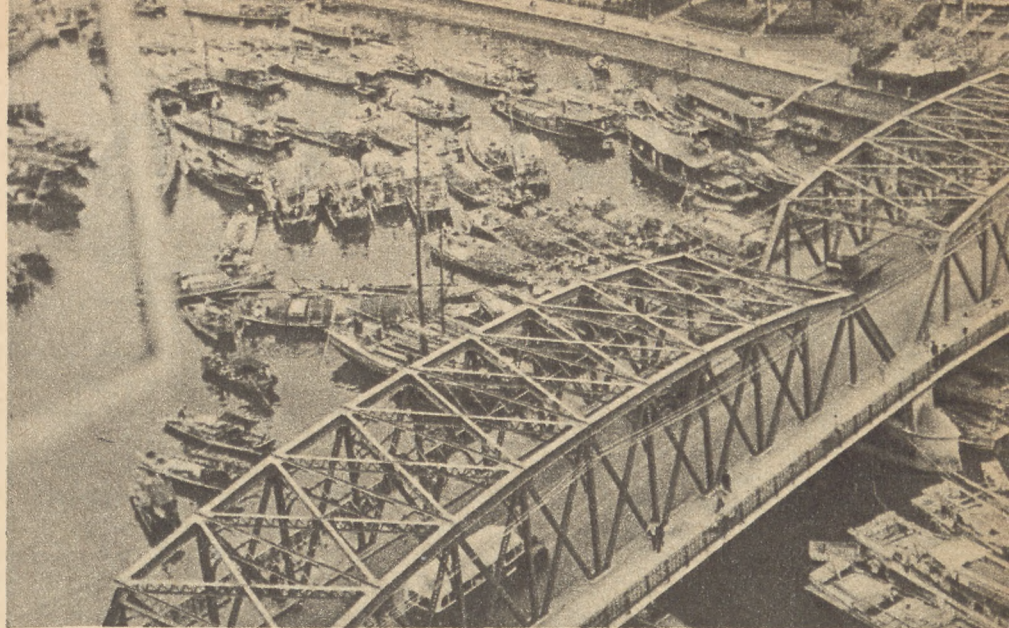
Opuszczaliśmy Nankin w deszczowe popołudnie. Chłoniliśmy oczyma widok ruszających, za którymi rosły mury nowych domów i nowych szkół. Żegnały nas tłumy, przywołując zawołanie narodu chińskiego: Ho ping wansuej. I deszcz nie przeszkodził nam tańczyć na placu przed dworcem. Nie czuliśmy, że nasiąkają wilgocią ubrania, że jest chłodna, nieprzyjemna pogoda; ogrzewała nas serdeczność ludzka, porwała radość wyzwalonego narodu.

Nankin — to było pierwsze miasto chińskie, które odwiedziłem. Przede mną jeszcze czekał długi przez chińskie ziemie. I jestem pewien, że będzie ona tak samo piękna i wzruszająca — droga przez ludzką serdeczność i szczęście. Bo serdeczność i szczęście kwitną na tej ziemi jeszcze piękniej od kwiatów, które dają nam ufnie, ślicznie chińskie dzieci.

MARIAN BIELICKI



Szanghaj, niegdyś siedlisko chińskich feudalów i zagranicznych kapitalistów, zmienił swoje oblicze; tętni radosną pracą ludzi wolnych.



W porcie szanghajskim wre praca. Olbrzymim wysiłkiem narodu chińskiego odbudowano żeglugę, zdewastowaną przez uchodzących z kraju czangkaiszekowskich wandalów.



Miasteczko Lin-czan. Przed stoiskiem z gazetami gromadzą się grupki przechodniów.



Nawet w drodze do pracy Chińczycy wykorzystują czas — czytają książki i gazety.



Tak wygląda chiński prosiak: niezwykłość wyglądu podnosi jeszcze czarny kolor skóry



Wic w Pld. Chinach. Masy pracujące stale podnoszą swoją świadomość polityczną.



Chiński chłop-przodownik pracy z zadowoleniem wskazuje na dzieło swoich rąk: dobrze uprawiona ziemia daje obfite plony.

POJEDYNEK WYWIADÓW

W KOŃCU 1951 ROKU do komendy policji niemieckiej we Freiburgu (francuska strefa okupacyjna) zgłosił się wysoki brunet w ciemnych okularach, legitymujący się francuskim paszportem na nazwisko Rene Levacher. Znalazłszy się w gabinecie szefa policji, monsieur Levacher zeznał, iż prawdziwe jego nazwisko brzmi Hans Konrad Schmeisser i że do niedawna pełnił obowiązki głównego agenta francuskiego wywiadu SDECE (Service de Documentation et Contre-Espionage), instytucji podległej bezpośrednio samemu premierowi francuskiemu.

Zeznania Levacher-Schmeissera były rewelacyjne. Ujawnił on bowiem — i słowa swoje poparł fotokopiami oryginalnych dokumentów — że kanclerz rządu w Bonn, Konrad Adenauer, i jego najbliższy, najbardziej zaufany współpracownik, b. sekretarz generalny CDU w strefie brytyjskiej, a obecnie szef wydziału politycznego bońskiego Aussemtu, Herbert Blankenhorn, byli do 1949 roku... płatnymi agentami francuskiego wywiadu. Chodziło po prostu o to, że pan „Premier” dostarczał za gotówkę francuskiemu wywiadowi najbardziej tajnych informacji i popierał francuskie dążenia do rozczłonkowania Niemiec i aneksji obszarów nadreńskich „wraz z Saarą” przez imperialistów francuskich.

NA ŻÓLDZIE FRANCUSKIEGO IMPERIALIZMU

O tym, że Konrad Adenauer, już po pierwszej wojnie orędownik nadreńskiego separatyzmu, jest starym i zasłużonym agentem imperializmu, wiemy nie od dziś. Ciekawa pod tym względem jest jednakże przeszłość obecnego kan-

clerza Trizonii w okresie francuskiej okupacji Nadrenii.

Na Wielkanoc 1945 roku ukazała się w Paryżu książka przywódcy separatystów nadreńskich, dr. Dortena, pod tytułem: „La Tragedie Rhenane”.

Specjalnie charakterystyczne są uwagi Dortena o jego dawnym przyjacielu i towarzyszu zdrady, Konradzie Adenauerze: „Jako członek klubu przemysłowców nadreńskich, Adenauer pozostawał w stałym kontakcie z najwplywowszymi przywódcami ciężkiego przemysłu. Oni to bowiem byli prawdziwymi autorami separatystycznych planów”. Spośród autorów tych zdradzieckich planów wymienienia wart tylko kolonijny bankier Louisa Hagena, przewodniczącego rad nadzorczych 13 towarzystw akcyjnych, wiceprezesa 11 rad nadzorczych i członka rad nadzorczych 39 towarzystw akcyjnych. Oczywiście Hagen nie był jedyny. Burżuazyjny demokrat dr. Fritz Brüggemann wymienia w swej książce „Die Rheinische Republik” takich potentatów nadreńskich, jak bankiera Oppenheima, bankiera Heinricha von Steina, przewodniczącego syndykatu węglowego dr. Silberberga i innych.

Ta właśnie grupa monopolistów niemieckich założyła w styczniu 1919 roku „dla ochrony wspólnych interesów gospodarczych nowe bezpartyjne stowarzyszenie celem popierania dążeń do utworzenia republiki nadreńskiej”. Przewodniczącym tego komitetu zdrajców wybrany został... dr Konrad Adenauer, już wówczas przez rekinów przemysłu westfalskiego upatrzony na stanowisko prezydenta „Republiki Nadreńskiej”.

Stanowisko Adenauera było od pierwszej chwili najzupełniej jasne: wykonać polecenie swoich monopolistycznych mocodawców, oderwać Nadrenię od Niemiec i wytargować dla siebie jak najwięcej. Dorten przytacza charakterystyczną rozmowę Adenauera z przedstawicielem dowództwa francuskiego w Kolonii: „Adenauer oświadczył Francuzom: jesteśmy gotowi oderwać się od Niemiec... Mam polecenie prosić pana o jego propozycje, a jako równowartość mogę zaproponować wam moją całkowitą współpracę”.

Ale ówczesna rywalizacja francusko-angielska na terenie Zagłębia Ruhry nie dawała spać Adenauerowi. Pozostając na usługach Francuzów, nawiązuje on równocześnie ścisłą współpracę z pułkownikiem Ryan'em, szefem departamentu politycznego w angielskiej kwaterze głównej, tym samym, który w kilka lat później został jednym z szefów Intelligence Service. Od tej chwili płk. Ryan nie zrywa kontaktu z Adenauerem, nawet wówczas, gdy przyszły kanclerz boński zostaje przewodniczącym Pruskiej Rady Państwa. Agenci angielskiego wywiadu niejednokrotnie otrzymywali od Adenauera cenne informacje.

OPOWIEŚĆ SCHMEISSERA

Po ostatniej wojnie imperialiści francuscy przypomnieli sobie, że przecież w Niemczech przebywa ich dawny agent Adenauer. Zaraz po zajęciu Kolonii został on mianowany przez władze brytyjskie burmistrzem tego miasta. Równocześnie stanął na czele partii chadeckiej (CDU), która obecnie jest partią rządzącą w Trizonii.

Posłuchajmy więc, co opowiedział komisarzowi policji we Freiburgu Schmeisser alias Levacher o roli, jaką

odgrywał Adenauer w kontrwywiadzie francuskim teraz, już po II wojnie światowej:

„Z Blankenhornem spotkałem się w gmachu CDU w Kolonii, przy Robert-Heuser-Strasse. Rozmawiałem z nim jako oficjalny pełnomocnik francuskiego wywiadu na tematy polityczne i szpiegowskie”. Ponieważ jednak Blankenhorn podkreślił, że decyzje w sprawie konkretnych propozycji francuskich należą do Adenauera, Schmeisser spotkał się z późniejszym kanclerzem, z którym rozmawiał dwie i pół godziny. „Aby usunąć wszelkie niepotrzebne trudności — mówił Schmeisser — zostało ustalone, że nie będę się więcej spotykał bezpośrednio z dr. Adenauerem, lecz wszystko będę załatwiał przez Blankenhorna. Blankenhorn wielokrotnie zapewniał mnie później, że wszystko, czego się ze mną podejmuje, dzieje się na kateryczne polecenie i z pełną zgodą dr Adenauera”.

Jak widzimy, obmyślane to było nadzwyczaj dokładnie. Ale wróćmy do zeznań Schmeissera: „Z Blankenhornem spotykałem się regularnie przeważnie raz w tygodniu, czasami w późnych godzinach wieczornych w jego prywatnym mieszkaniu w Kolonii, które znajdowało się w domu CDU przy Robert-Heuser-Strasse, czasami zaś w jego biurze prywatnym w tym samym budynku. Później — po utworzeniu rządu — spotykaliśmy się także w gmachu parlamentu lub w pewnej restauracji w Godesbergu. Odwiedzał mnie on także w moim mieszkaniu w Boppard”.

Cóż było tematem tych spotkań? I o tym dowiadujemy się z zeznań Schmeissera: „W czasie każdego spotkania składał mi Blankenhorn dokładne sprawozdanie na wszystkie tematy, jakie mogły interesować wywiad francuski. Przekazał mi on listę tych poważniejszych osobistości politycznych, które gotowe były ściśle współpracować z Francją. Jego raporty obejmowały najbardziej tajne wewnętrzno-polityczne plany Adenauera (w tych rozmiarach, jakie interesowały wówczas wywiad francuski); plany Adenauera w zakresie polityki zagranicznej, które zmierzały do jak najbliższego i trwałego powiązania z Francją (przy czym Blankenhorn prosił mnie o ostrożność w czasie rozmów telefonicznych, ponieważ obawiał się, aby nasze rozmowy nie doszły do wiadomości brytyjskiego Intelligence Service); interesujące wywiad francuski szczegóły dotyczące zachodnio-niemieckich polityków... wreszcie informacje antykomunistyczne. Wszystko to były najbardziej tajne materiały, które nigdy nie zostały ujawnione i które znane były jedynie kilku najbliższym współpracownikom dr. Adenauera”.

Ale Adenauer nie czuje się bezpieczny w Niemczech. „W 1949 roku — stwierdza Schmeisser — Blankenhorn zakomunikował mi prośbę dr. Adenauera, aby na wypadek wojny obaj wraz z rodzinami wywiezieni zostali przez wywiad francuski w bezpieczne miejsce do Hiszpanii”. W Paryżu natychmiast zaaprobowano propozycję trizonijskiego „premiera”. W celu wcześniejszego przygotowania odpowiednich papierów dla obu agentów, wywiad francuski zażądał od nich „dokładnych danych personalnych, zarówno ich, jak i ich rodzin”, oraz uzgodnił z nimi miejsce, skąd „w wypadku zagrożenia mieli być wywiezieni autem francuskiego wywiadu”.

Na zakończenie Schmeisser podał przesłuchującemu go komisarzowi policji we Freiburgu wysokość sum, jakie przekazał swoim agentom. Po złożeniu swych rewelacyjnych zeznań, b. agent francuskiego wywiadu opuścił spokojnie gmach komisariatu policji.

W pierwszej chwili mogłoby się wydawać dziwne, że agent francuskiego wywiadu, Schmeisser-Levacher, który, jak sam oświadczył, zerwał ze swoimi dotychczasowymi chlebodawcami, zdecydował się złożyć swoje rewelacyjne zeznania właśnie we francuskiej strefie okupacyjnej. Czyżby się nie obawiał, że może wpaść w ręce innych agentów paryskiego „Deuxieme Bureau”?

Jak się okazuje, Schmeisser wcale nie obawiał się swoich byłych szefów, którzy nadal pozostali jego przełożonymi. Bowiem w parę miesięcy później, w marcu 1952 roku, spotykamy Herr Schmeissera znowu w Paryżu. Historia ze zdemaskowaniem Adenauera przeprowadzona została oczywiście... na rozkaz francuskiego wywiadu, który w ten sposób skompromitować chciał obecnego pupilka Waszyngtonu, Konrada Adenauera, i podstawić nogę amerykańskim imperialistom w Trizonii.

Ale tym razem przeliczyli się, zarówno Schmeisser, jak i jego przełożeni z SDECE, jak wreszcie przełożeni jego przełożonych — władcy francuskich monopolii. Zapomnieli o tym, że od dłuższego czasu nie tylko Adenauer, ale cały jego aparat państwowy znajduje się w rękach Amerykanów. Toteż komendant freiburskiej policji przyjął od Schmeissera protokół jego rewelacyjnych zeznań i... przekazał go Adenauerowi.

ODYSEJA AGENTA

Francuski wywiad nie daje jednak tak łatwo za wygraną. Gra toczy się przecież o rzecz niemałą: o to, który ze zwalczających się wzajemnie imperializmów będzie miał w Niemczech zachodnich najwięcej do powiedzenia. Toteż Schmeisser udaje się do Wiesbadenu, stolicy Hesji, gdzie rządzi rzekomo „najzagorzalsi wrogowie” Adenauera, socjaldemokraci. Schmeisser przyjęty został przez szefa tajnej policji politycznej, kierownika „Urzędu Ochrony Konstytucji”, Oberregierungsrat Paula

Herbert Blankenhorn, pośrednik między Adenauerem a wywiadem francuskim



Trójka mocodawców i ich agent: Acheson, Schuman i Eden z zadowoleniem



W Watykanie Adenauer przyjmowany był również jako „swoją osobą”.

Schmidta. I znów spisano obszerny protokół, który stał się tematem specjalnej konferencji, z udziałem trzech wysokich dygnitarzy heskiej socjaldemokracji: premiera Zinna, ministra spraw wewnętrznych Zinnkanna i Herr Paula Schmidta. I znów cała sprawa schowana została pod sukno. Mylili się szefowie francuskiego wywiadu przypuszczając, że walka kliki socjaldemokratycznej z rządem Adenauera silniejsza jest od dolarów Morgana i McCloya.

Ale odyseja Schmeissera trwa nadal. Nie wskórawszy nic w Hesji, udał się do Hannoveru, do siedziby głównej SPD, gdzie znowu złożył swoje zeznania i przedstawił fotokopie tajnych dokumentów zdrady Adenauera. Prezydium SPD przyjęło z radością ujawnienie tajemnicy współpracy Adenauera z wywiadem francuskim, ale... nadal nic się nie stało. Jak pisała stuttgartzka „Deutsche Zeitung und Wirtschaftszeitung”: „Kierownictwo SPD postanowiło nie robić żadnego użytku z posiadanych materiałów, zawiadamiając o tym równocześnie urząd konstorski w Bonn”. Po prostu socjaldemokraci, zdobywszy dokumenty kompromitujące Adenauera, postanowili „po cichu” szantażować swego konkurenta.

Gdy wszystkie próby skompromitowania Adenauera przy pomocy Schmei-

ssera zawiodły, wywiad francuski zdecydował się zwrócić o pomoc do... wywiadu angielskiego. Imperialiści brytyjscy nie mniej od Francuzów wściekają się na panów z Waszyngtonu za wyparcie ich z Niemiec zachodnich. Walka między imperialistycznymi wilkami trwa nie od dziś. Pamiętamy przecież doskonale, jak to wykradziony przez wywiad angielski tajny raport amerykańskiego admirała Fechtelera, opublikowany został we francuskim półurzędowym „Le Monde”. Przysługa za przysługę. No i w ten sposób rewelacje o współpracy Adenauera z wywiadem francuskim w latach 1946—1949 opublikowane zostały w finansowanym przez Intelligence Service zachodnio-niemieckim tygodniku „Der Spiegel”. Podkreślić należy, że rewelacje te ukazały się w tygodniku „Spiegel” dnia 9 lipca 1952 roku. tego samego dnia, kiedy Adenauer przedstawił do ratyfikacji parlamentowi bońskiemu wojenny układ ogólny.

BUMERANG

Po opublikowaniu zeznań Schmeissera, Adenauer ogłosił w prasie jedno ze swoich znanych „dementis”, w którym oświadczył, że „tylko kilka razy” przyjął Schmeissera, równocześnie zaś określił go jako „wysoce podejrzanego i złażdaczony indywiduum” (höchst verdächtigtes und verlumpertes Individuum). Dementi Adenauera okazało się bumerangiem, który jeszcze bardziej pogrzebił bońskiego kanclerza. Po pierwsze bowiem, „Spiegel” pisze o jednym tylko spotkaniu Adenauera ze Schmeisserem, a sam Adenauer przyznaje się do kilku. Powtórę, powstaje pytanie, czemu należy przypisać, że Adenauer spotykał się w ogóle z tym „wysoce podejrzanym i złażdaczonym indywiduum”?

Do ataku przystąpiła cała prasa wroga Adenauerowi. „Aachener Nachrichten” przedrukowały odbitkę artykułu „Kölnische Rundschau” z roku 1945, w którym Adenauer również domagał się oderwania Nadrenii do Niemiec.

A więc znowu powtórzyła się stara gra Adenauera i jego monopolistycznych mocodawców zachodnio-niemieckich, którzy, jak po pierwszej wojnie światowej, uważali, że lepiej dla nich związać się z imperialistami francuskimi, niż ryzykować zjednoczenie Niemiec, takich Niemiec, w których monopolisci nie byłiby już panami banków, fabryk i ludzi.

Albowiem międzynarodowy kapitał monopolistyczny nie zna ojczyzny, zna jedynie sfery interesów i militarne bazy wypadowe agresji.

JÓZEF SOLTYS



przyjmują raport międzynarodowego szpiega Adenauera (drugi od lewej). Mimo pozornej zgody na terenie Niemiec zach. trwa zaciepła walka trzech imperializmów.



Po „figurowcach” i „szybkobiegaczach” trenują hokeiści. Zawodnicy CWKS — Olszewski i Chodakowski toczą zaciepły pojedynek pod bramką, której broni Koczub.

TAFLA W ESY—FLORESY

KATOWICE — stolica górników i hutników — są zarazem ośrodkiem treningowym łyżwiarzy wszystkich dyscyplin.

Na taflę sztucznego lodowiska — Torkatu, podobnie jak w kopalniach i fabrykach, życie zaczyna się wcześniej. Godzina 5.30. Na świeżo wylaną i wypolerowaną jak lustro taflę, wybiegają pierwsi łyżwiarze — „figurowcy”, którym potrzebny jest lód nietknięty obcą łyżwą. Rysunek przez nich samych kreślony musi być precyzyjny i łatwy do odczytania.

I oto, wykreśliwszy długą, prostą oś, rysują na niej łuki, wężyki, pętli i inne figury jazdy szkolnej.

Łyżwiarzy przybywa i każdy trenuje na swojej osi. Są już w komplecie — wszyscy najlepsi w Polsce: z CWKS, ze Stali, z Górnik i innych zrzeszeń. Na lodowisku robi się tłok. Bo czasu niewiele: niedługo trzeba będzie ustąpić miejsca szybkobiegaczom. Trenować z nimi niesposób; mknący jak ciemne meteory, rozbiłby delikatną, koronkową robotę figurowców.

Skończyły się pracowite kwadransy ćwiczeń obowiązkowych i nagle cały Torkat poweselał: rozkołysał się, zawirował: łyżwiarze przeszli na artystyczną jazdę dowolną. Wyskoczył wysoko w górę mistrz Osadnik w efektownej „żabce”, młodzi, utalentowani łyżwiarze Ledwig i Hnatyszyn wycinają junacko „Rittenbergery”, a mała Urszulka Machinek kręci „siadanego” pirueta.

Wszyscy trenują zapamiętane, bo bieżący sezon jest wyjątkowy: po raz pierwszy po wojnie planowane są międzynarodowe spotkania naszych „figurowców”. Po raz pierwszy praca instruktorów i postępy zawodników skonfrontowane będą z wynikami zawodników innych krajów.

Teraz wychodzą na taflę pożeracze przestrzeni — szybkobiegacze. Czarne, smukłe sylwetki suną jedna za drugą tuż koło bandy, mocno pochylone na przód, głowa niby dziobem drążą w powietrzu niewidzialny tunel. Ostre noże łyżew zgrzytają rytmicznie, wyrzucając fontanny lodowego pyłu. Rozwinąć szybkości nie mogą: tor jest za mały. Właściwie jadą stale na krzywiźnie. Trening jednak dobry, bo najważniejsza jest technika brania wiraży. Doświadczony mistrz Janusz Kalbarczyk czuwa nad całością. Jego młodzi wychowankowie: Lewandowski i Kazimierz Kalbarczyk oraz zasłużona mistrzyni sportu Głazewska prowadzą dwugodzinny trening. Pracują głównie nad techniką jazdy. W osiąganiu jak największej szybkości i jak najlepszej kondycji będą ćwiczyć się na innych torach.

Gwizdek. Kadra łyżwiarska opuszcza lodowisko, a jej miejsce zajmują mistrzowie gumowego krążka — hokeiści. Stuknęły kije. Zygawką mkną czarne krążki. Zaludniła się płyta chłopcami w kolorowych, pasiastych sweterach. Wojskowi, Górnicy, Gwardziści — hokeiści spod znaków różnych zrzeszeń sportowych. Miejscowi i przybysze z całej Polski gorliwie pracują nad podniesieniem swych umiejętności w tym sporcie, wymagającym nie tylko dobrej kondycji, ale błyskawicznego refleksu, zmysłu taktyki i odwagi.

Od wczesnego ranka do późnej nocy Torkat pełni swoją niestrudzoną służbę dla dobra polskiego sportu. Gdyby nie Torkat, to w ubiegłych bezmroźnych sezonach można by było powiesić łyżwy na kołku jako bezużyteczny sprzęt. Rola Torkatu jest olbrzymia, a jedynym mankamentem — jego szczupłość w stosunku do potrzeb. Stąd przepełnienie utrudniające treningi. Przydałoby się drugie sztuczne lodowisko, które przejęłoby część tego trudu na swoje barki (czytaj: na swoją taflę).

KRYSTYNA WOLSKA

Efektowny piruet w wykonaniu Hanny Dąbrowskiej, wicemistrzyni Polski.



Nowelą Turgieniewa „Pierwsza miłość” zainteresował się francuski reżyser Jean Renoir i w najbliższym czasie przystąpi do jej realizacji. Rolę główną odtwarzać będzie znana nam z filmu „Bez adresu” Danielle Delorme.

W pierwszych dniach listopada w Amsterdamie odbył się zjazd Międzynarodowej Federacji Archiwów Filmowych. Prezesem Federacji po raz

czwarty wybrany został przedstawiciel Polski. krytyk filmowy, Jerzy Toeplitz.

Nad ekranizacją klasycznego dzieła literatury światowej. „Robinsona Crusoe” Daniela Defoe, pracuje obecnie w Meksyku znany reżyser Luis Bunuel.

Christian — Jaque rozpoczął realizację historycznego filmu „Lukrecja

Borgia”. Plenery do filmu kręcone są pod Rzymem w technicolorze.

Zorganizowany w ub. miesiącu festiwal filmów włoskich w Nowym Jorku spotkał się z niezwykle serdecznym przyjęciem publiczności amerykańskiej. Reakcyjna prasa amerykańska poświęcała festiwalowi wprowadzić wiele miejsca, ale imprezę tę określiła jako „inwazję filmu włoskiego na USA” (dosłownie!). Bezcelność zdumiewająca. (J. d.)

JAN RYBKOWSKI

ROZMOWA O FILMIE

SPOTKAŁEM przyjaciela z dawnych lat. Przypadek — na przystanku tramwajowym podchodził do mnie zażywny jegość.

— Przepraszam, czy pan Rybkowski?

— Tak!

— No widzisz! Od razu cię poznałem. — Tu następuje szereg uścisków.

— No, co słyhać? Tyle lat! — Małeńka konoternacja. Przypatrujemy się sobie, starając się na gwałt wygrzebać z pamięci jakieś strzępy wspólnych wspomnień. Kilka pytań o starych znajomych — i lody zostały przełamane. Toczy się wartko potok sztubackich wspomnień.

Po godzinie, przy pół czarnej, tematy z przeszłości zostały całkowicie wyczerpane.

Przystępujemy do teraźniejszości.

— Co robisz?

— No, jak wiesz, skończyłem prawo. Jestem adwokatem. A ty co? Pracujesz w filmie.

— Tak!

— A wiesz, że nigdy bym nie przypuszczał. Nawet kiedy słyszałem twoje nazwisko, bo mnie te rzeczy interesują, nie kojarzyłem go nigdy z tobą.

— Zdarza się.

— Nie gniewaj się za moją szczerość! Wybrałem sobie ciekawe zajęcie.

— Masz rację. Niezwykle ciekawe i pasjonujące.

— Ja znam film tylko od strony widowni i chodzę do kina bardzo często. Czytam pilnie wszystkie recenzje. Jednym słowem jestem namiętnym kinomanem.

— Bardzo mnie cieszy, że mam w tobie tak wdzięcznego odbiorcę. Dla nas, pracowników filmu, rozmowy z widzami są niezwykle cenne.

— No, to w takim razie odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie.

— Bardzo chętnie. Nawet na więcej.

— Dlaczego robicie takie złe filmy?

— Śmiało uogólnienie, przyznam się, że nieco zaskakujące. Ale jeżeli jest to twój osobisty sąd, powstały przez obserwację drogi rozwojowej kinematografii polskiej, jeżeli ten problem interesuje cię naprawdę poważnie, to mogę ci służyć szeregiem wyjaśnień, które może nie wpłyną na całkowitą zmianę twego stanowiska, ale z całą pewnością potrafią go złagodzić.

— Pytanie moje jest zupełnie poważne. Opinia moja powstała jednak nie tylko z oglądania filmów i czytania recenzji. W dużym stopniu wpłynęły na nią liczne rozmowy, które prowadzę na tematy filmowe w moim środowisku...

— Występujesz więc jako adwokat w imieniu całej grupy widzów?

— Tak! Jako adwokat. Wiesz przecież, że to jest mój zawód. Zainteresowanie moje sztuką, może jakieś niewyżyte tęsknoty, zbliżyły mnie do ludzi literatury, teatru. Stykam się z plastykami, ludźmi z prasy. Spośród tych środowisk rekrutuje się przeważnie krąg moich znajomych.

— Świetnie się składa. Mam więc okazję rozmawiać z adwokatem ludzi współwinnym za losy filmu polskiego. Czy tak?

— Dlaczego?

— Sądziłem, że reprezentujesz opinię przeciętnego, czy, jak wolisz, szarego widza. Ty

stwa. Czytałem wszystkie artykuły powstałe pod wpływem tych narad. Powiem ci więcej — ze zdziwieniem stwierdziłem fakt, że ani na naradach, ani tym bardziej później w prasie, nie ukazała się żadna poważna wypowiedź twórców filmowych.

— Nasze wypowiedzi można oglądać na ekranie.

— Twoja odpowiedź jest na pozór bardzo skromna, ale tylko na pozór. Poza nią może kryć się mniej skromne stanowisko: „Wy gadjacie sobie zdrowi, a my robimy tak, jak nam się podoba”. Czytając w ostatnich czasach prasą radziecką spotkałem wiele artykułów na tematy filmowe, które w większości były

wszyscy moi znajomi twierdzą, że filmy polskie są złe? Nie. Tego nie mógłbym powiedzieć! Wielu przecież spośród nich pisze zresztą o tych filmach doskonałe recenzje. Opinia nie jest jednolita, ale na ogół mogę stwierdzić, że o naszej twórczości filmowej w prywatnych rozmowach nie mówi się nigdy poważnie. Tak poważnie, jak mówi się o literaturze, teatrze, czy malarstwie. U większości moich rozmówców istnieje pewne uprzedzenie do tej najmłodszej z muz. Wielu z nich po prostu stwierdza — „że wprawdzie słyszałem, że ten czy inny polski film jest niezły, ale ja z zasady na polskie filmy nie chodzę”.

— Nie mówisz mi specjalnych rewelacji. To stanowisko znane mi jest doskonale. Stwierdziłem niejednokrotnie, że reprezentują je nie ludzie sztuki czy nauki, ale snobi, którzy za takich chcą być uznawani.

— Przypuśćmy, że masz rację, ale przyznasz jednak, że filmy obcych produkcji, wyświetlane na naszych ekranach, są niejednokrotnie lepsze od naszych?

— Tak! Filmy, które dziś są wyświetlane u nas, są niejednokrotnie lepsze.

— To znaczy, że nie potrafimy produkować dobrych filmów?

— Mój drogi! Polska produkcja daje 4—5 filmów rocznie. Kraje kapitalistyczne — po kilkaset. Przed wojną byliśmy zasypywani filmami tych produkcji. Przypomnij sobie te wszystkie superszlakiery. Dziś producenci zachodni wiedzą, że u nas można sprzedać tylko bardzo dobre filmy. Dlatego widz nasz ma możliwość oglądać tylko te filmy, które rzeczywiście mają duże wartości artystyczne i społeczne, i właśnie dlatego idą na naszych ekranach. Nie należy jednak zapominać, że zostały one wybrane spośród setek filmów, pozbawionych tych wartości. I dlatego nie należy zestawiać całej naszej produkcji, która, niestety, zamyka się ledwo w 4 czy 5 filmach rocznie, z równą ilością filmów zachodnich, widzianych na naszych ekranach, które są szczytowymi osiągnięciami tamtych produkcji.

— No, to dlaczego produkujemy tak mało filmów?

— To jest bardzo złożone zagadnienie. Przed rokiem 1939 doszliśmy do produkcji 25 filmów rocznie. W okresie międzywojennym wyprodukowano u nas kilkaset filmów. Ale spośród tych wszystkich, nie wiem, czy można by znaleźć z 5 pozycji o jakichś takich wartościach artystycznych. Produkując 25 filmów rocznie, Polska nie liczyła się zupełnie w produkcji europejskiej. Dziś produkujemy mało. Postaramy się w najbliższym czasie produkować więcej. Ale nawet z tą minimalną ilością produkowanych filmów możemy się poszczycić dużymi sukcesami międzynarodowymi. Film „Ostatni Etap” obiegł ekrany całego świata, ciesząc się wszędzie dużym powodzeniem. Nie należy przypuszczać, że był specjalnie popierany przez czynniki krajów kapitalistycznych. Nie mniejszym sukcesem cieszył się również film „Ulica Graniczna”. Również inne filmy naszej produkcji szły na ekrany krajów zachodnich. Jeżeli podkreślam — tu, przede wszystkim, sukcesy czy też po prostu obecność naszych filmów na ekranach zachodnich, nie mówiąc, że filmy polskie cieszą się popularnością i dużym powodzeniem w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej, to chodzi mi o to, że jesteśmy dziś z naszymi filmami nie tylko tam, gdzie nas mile widzą — wśród przyjaciół, ale nawet tam, gdzie woleliby nas nie widzieć!

— Jak z twoich słów wynika, staliśmy się nagle potęgą filmową, a tylko domowi mal-kontenci tak narzekają.

— Bardzo daleki jestem od takich sądów. Po prostu istnieje dziś u nas warunki, w których możemy produkować prawdziwie artystyczne filmy. Postawiliśmy na tej drodze pierwsze kroki i odnieśliśmy pierwsze sukcesy.

— Wydaje mi się, że masz wyraźną pretensję do naszych kół artystycznych, że nie rozumieją i nie doceniają sukcesów naszych filmów?

— Nie! Ja nie mam pretensji. Po prostu, staram się zrozumieć to stanowisko. W niektórych wypadkach mogę sobie je nawet wytłumaczyć.

W następnym numerze naszego pisma ukaże się specjalna kolumna filmowa, poświęcona twórczości genialnego aktora, Charlie Chaplina. Na jej treść złożą się: korespondencja z Paryża pióra Francis Cremieux i liczne wypowiedzi samego Chaplina.

jednak mówisz w imieniu ludzi, którzy są bardzo często współtwórcami filmu.

— Tak! W wielu wypadkach rozmawiałem z ludźmi, którzy mieli w związku ze swoim zawodem jakieś styczności z filmem i muszę ci powiedzieć...

— Pozwól, że ci wyreczę. W większości wypadków mieli pretensje do filmu. Czy tak?

— Raczej tak! Może nie wszyscy bezpośrednio do filmu, ale pretensje mieli prawie wszyscy. Ja nie chcę mówić o współpracujących z filmem, ale o widzach, o tych, którzy tworzą opinię o filmie.

— Wybacz, ale opinia powstaje nie tylko w twoim środowisku. Nasze oddziaływanie jest bardzo szerokie. Wiesz przecież, jaka wagę przywiązują dziś do naszej działalności czynniki partyjne i państwowe.

— Oczywiście! Jestem człowiekiem bardzo systematycznym. Czytałem bardzo dokładnie sprawozdanie ze zjazdu w Wiśle, w Sopocie i z ostatniej narady filmowej w Radzie Pań-

pisane przez wybitnych realizatorów filmowych. A artykuły pisane przez krytyków i dziennikarzy opierały się wielokrotnie na wypowiedziach realizatorów filmowych.

Powróćmy jednak do tematu. Narady starali się wytyczyć kierunek, postawić przed filmem cele. Stworzyły pewne kryteria ocen, ale właściwy sąd o wartości dzieła i jego hierarchii artystycznej pozostaje w ręku krytyki, ludzi piszących o filmach, i środowiska artystycznego, które filmy omawia i dyskutuje nad nimi.

— Nie zapominaj, że premiera „Pierwszych dni” odbyła się w fabryce. Dyskutowaliśmy z robotnikami. Odbywał się szereg podobnych dyskusji w środowiskach robotniczych. I nie tylko u nas w kraju, wypowiadali się również o naszych filmach robotnicy NRD, Czechosłowacji, a ostatnio Związku Radzieckiego.

— Tak, ale sprawozdania o tym pisali dziennikarze i literaci.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że piszący interpretowali wypowiedzi dowolnie, nie licząc się z właściwą opinią widzów?

— Ależ liczyli się jak najbardziej. Niektórzy aż tak dalece, że posługując się wypowiedziami innych, nie powiedzieli słowa od siebie. To jednak nie zmienia sytuacji. Ostateczną opinię, powstałą pod takimi czy innymi wpływami, kształtują i reasumują ludzie piszący o filmie. Prosty widz biorąc gazetę, słuchając radia, zostaje przygotowany w pewien sposób na przyjęcie filmu. Ma przed sobą ocenę. Cenzurę, wystawioną autorowi scenariusza, reżyserowi, aktorowi. Po zobaczeniu filmu może się z tym nie zgodzić, może to powiedzieć najbliższej rodzinie i znajomym, ale opinii o filmie nie zmieni. A dla ciebie? Co jest bardziej wiążące, czy luźna wypowiedź widza w dyskusji lub zasłyszana na ulicy czy w tramwaju uwaga, czy też krytyczny artykuł, analizujący twój wysiłek?

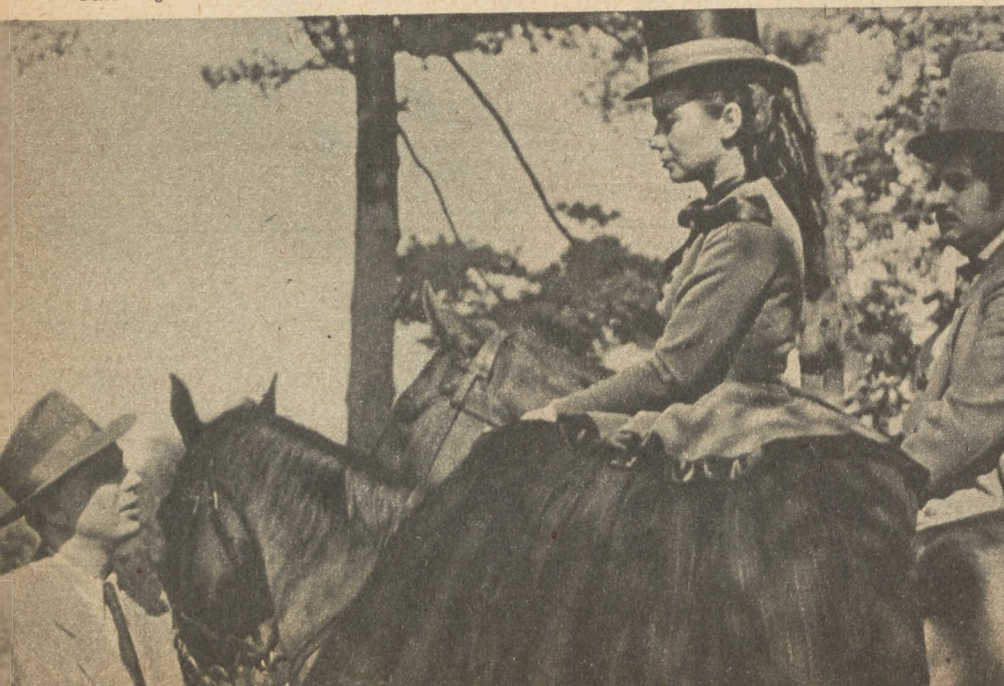
— Oczywiście, że rzeczowa recenzja, czy dyskusja w środowisku artystycznym, daje mi więcej, niż niejednokrotnie bardziej może szczerą, krytyczną czy pochwalną, ale luźną wypowiedź widza.

— Więc jednak zgadzasz się ze mną, że krąg widzów, których reprezentuje, jest wprawdzie nieliczny, ale oparta na głębszej analizie opinia o twojej pracy powstaje właśnie wśród tych ludzi.

— I dlatego w ich imieniu spytałem mnie, dlaczego robimy tak złe filmy. Czy tak?

— Widzisz, ja jestem tylko obserwatorem. Czytam, rozmawiam, słucham, patrzę. Czy

Jan Rybkowski i Danuta Szaflarska przy pracy nad „Premierą Warszawską”.



Dalszy ciąg nastąpi



HINDUSKI POSEŁ ŚWITU

PIERWSZY FILM HINDUSKI W POLSCE

W NIEŚMIERTELNEJ, pudowkinowskiej „Burzy nad Azją” jest taka scena: potomek Dżingis-Chana, przypadkiem odnaleziony przez jakąś ekspedycję angielskiego korpusu kolonialnego, zostaje przyhołubiony przez najeźdźcę generała, ubrany w barwny strój narodowy i — ponieważ zdradza zupełną bierność — promowany na głowę nieistniejącego państwa. Ten mallowinny sztyl ma stanowić parawan dla brudnej, eksploatacyjnej roboty Anglosasów. Ale niespodzianie dla jego protektorów ranny, chory i lekceważony Mongoł otrząsa się z apatycznej drzemki, walczy o uzyskanie swobody ruchów, ucieka, by wreszcie powrócić w oszałamiającym galopie i wypędzić z kraju anglosaskich okupantów.

Scena, w której na martwej twarzy znakomitego Inkiszyjniowa, grającego potomka wielkiego chana, pojawia się pierwszy błysk sprzeciwu, przypominała mi się w trakcie oglądania pierwszego w Polsce filmu hinduskiego „Na kalkuckim bruku”.

Nie, w filmie postępowego realizatora hinduskiego, Nimai Ghosha, nikt nie wypędza najeźdźców, żadna burza historii nie miota w uciekających generałów pękami zeschłych liści. W dość słabym artystycznie filmie Ghosha bezradni starcy i kobiety snują się ponuro po peronach głównego dworca w Kalkucie. Sympatyczny, pozytywny bohater filmu, prześladowany przez kułaków Krisanto, nie jest na pewno odpowiednikiem bohatera filmu Pudowkina.

To cała kinematografia hinduska jest dziś owym potomkiem wielkiego chana. Na jej twarzy właśnie pojawia się pierwszy błysk sprzeciwu, którego tak się boją eleganccy generałowie we frenczach.

Film w Indiach jest od dobrych dwudziestu lat rozbudowanym przemysłem. Różne Metropolitan Pictures, Jupiter i Bombay Talkies Studios zarzucają półwysep Dekanu dwiema setkami filmów

rocznie. Ale są to filmy niemal dla europejskiego widza niestrawne. Rozwijające się niezmiernie powoli, czasem niemal pozbawione akcji, bardzo źle fotografowane, operują wyłącznie prawie tematyką baśniową, melodramatyczną, służą za pretekst do pokazania oderwanych od treści numerów choreograficznych, wokalnych, cyrkowych. Niby — narodowa forma, a za tą formą zupełny brak treści, lub treść błaha, „rozrywkowa”, jak treść hollywoodzkich „B-Pictures”, niewiarygodnych szmir, produkowanych wyłącznie na użytek Wschodu, które byłyby wygwizdane przez najmniej wymagającego widza angielskiego czy francuskiego.

Takie filmy próbowano sprowadzać do Europy. Nikt ich nie chciał oglądać. Były nudne, cudaczne. Dalekie Indie były nadal niezrozumiałym, tajemniczym, dziwnym krajem słoni, palankinów, fakirow, maharadzów, palm, świętych krów i pariasów.

Ale ten zamknięty, obrzędowo-melodramatyczny świat filmu hinduskiego zaczyna powoli odchodzić w przeszłość. Burza nad Azją, wielki narodowo-wyzwoleńczy ruch skolonizowanych ludów, rodzi się nie tylko nad Jang-tse i Mekongiem, ale także nad Gangesem i Brahmaputą. Dżentelmeni, którzy pisują do „Timesa”, biadają coraz głośniejsze, że filmowcy hinduscy, jak zresztą filmowcy japońscy i indonezyjscy, coraz otwarciej zachwycają się filmami radzieckimi i filmami Ludowych Chin.

Czy tylko filmowcy? Kiedy na początku bieżącego roku odbył się w Kalkucie i Bombaju międzynarodowy festiwal filmowy, podczas wyświetlania filmów amerykańskich sala kina festiwalowego była niemal pusta. Ale był film, który wypadło aż dwukrotnie wyświetlić dodatkowo wciąż gromadzącym się tłumom widzów. Tym filmem był „Upadek Berlina”.

**Kraźownik „Aurora”
ogniem swych działań,
skierowanym na Pałac
Zimowy, obwieścił 25
października początek
nowej ery — ery Wiel-
kiej Rewolucji Socjali-
stycznej**

(Historia WKP(b) Krótki kurs)

Kiedy zagrały działa „Aurory”...

...Sergiusz Eisenstein ma lat 19. Studiuje w Petersburgu w Instytucie Inżynierii Cywilnej. Od dziecka zdradza niezwykle zdolności do rysunków. Z upodobaniem czyta dzieła literatury pięknej. Idealem młodego Sergiusza jest Leonardo da Vinci. Na początku 1918 roku rzuca studia i idzie na ochotnika do Czerwonej Armii, do korpusu saperów...

...Syn komiwojażera z Penzy, dwudziestotrzyletni Wsiewołod Pudowkin, dowiaduje się o Rewolucji w obozie jeńców pod Kilonią. W roku 1914 ukończył wydział matematyczno-fizyczny uniwersytetu w Moskwie, ale mobilizacja do wojska przeszkodziła mu w złożeniu dyplomowych egzaminów. Na początku wojny zostaje ranny i dostaje się do niewoli. Próbuje, bez szczęścia, uciekać z obozu. Od swych towarzyszy niedoli — jeńców różnych narodowości — uczy się angielskiego, francuskiego i polskiego. Po wielu latach zadziwi słuchaczy Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, zwracając się do nich w najczystszej polszczyźnie...

...Syn gruzińskiego chłopca, Michał Czisaureli, ma lat dwadzieścia trzy. Pracuje w warsztatach kolejowych w Tyflisie, w tych samych warsztatach, w których w sierpniu 1900 zwycięski strajk prowadził Kalinin. Michał Ediszerowicz jest wszechstronnie uzdolniony. Rysuje karykatury, rzeźbi i maluje. A wieczorami w tyfliskim zespole amatorskim grywa Chlestakowa w „Rewizorze”...

...Aleksander Dowżenko, syn ukraińskiego biedniaka z nad Desny, pracuje po ukończeniu Głuchowskiemu Instytutu, jako nauczyciel w małym miasteczku pod Kijowem. Ucząc dzieci historii i literatury, marzy o malarstwie i próbuje swych sił przy stalugach, z paletą w ręku...

...Szesnastoletni Michał Romm, syn lekarza z Irkucka, kończy gimnazjum. Ma szesnaście lat. Czyta z zapalem Flauberta i Zola. Organizuje w szkole teatr amatorski, w którym występuje i jako reżyser, i jako aktor...

...Syn robotnika z fabryki tytoniowej w

KARTKI Z HISTORII FILMU

KIEDY ZAGRAŁY DZIAŁA „AURORY”...

Odessie, Marek Donskoj, ma lat czternaście. Chodzi do szkoły, ale nie przejmując się zbyt nauką. Namietnością młodego Marka jest piłka nożna. Sam gra z zapalem i nie opuszcza w mieście ani jednego interesującego meczu...

...Syn inżyniera z Czelabińska, jedenastoletni Sergiusz Gierasimow, zaczyna dopiero swą szkolną karierę...

...W Jekaterinburgu (dzisiejszym Swierdłowsku) gościem i bileterem w kinie jest piętnastoletni Grzegorz Aleksandrow. Codziennie ogląda filmy. Najbardziej podobają mu się wieloseriowe, sensacyjne obrazy, a zwłaszcza te z życia cyrkowego. Młody Grisza marzy o tym, by zostać cyrkowym akrobatą...

...A na dalekim Altaju dziesięcioletni Iwan Pyriew ma pod swoją opieką stado krów. W lecie, kiedy je wygania na łąkę, dni mijają szybko. Ale pod koniec października, gdy trzeba było nakarmić i napoić, ciężko musi się napracować młody Iwan, przyszły laureat Stalinińskich Nagród i wielokrotny zwycięzca międzynarodowych festiwali...

Kiedy zagrały działa „Aurory”, żaden z wielkich realizatorów, twórców sławnej radzieckiej sztuki filmowej, nie marzył nawet o kinie, o artystycznej karierze w pozornie egzotycznym świecie atelier, kamer i jupiterów. Trudno było wówczas pogodzić pojęcia „kino” i „sztuka”. W iluzjonach Moskwy, Jekaterinburga i Petersburga wyświetlano łzawe i krwawe dramaty o atrakcyjnych tytułach — „Im ciemniejsza noc, tym gwiazdy jaśniej błyszczą”, „Młodość nie przebacza spóźnionym namietnościom”, „Śmierć zwyciężyła życie”, „Niewolnice namietności i występku” i „Szatan triumfuje”.

Rewolucja Październikowa zmiotła z ekranu produkty szkoły zbrodni, korupcji i moralnej dekadencji, wyzwalając kino z niewoli kapitału. Strzały z „Aurory” otworzyły perspektywy wspaniałej, twórczej pracy w nowej, nieznanej dotąd dziedzinie sztuki — Eisensteinom, Pudowkinom, Dońskim i Pyriewom.

JERZY TOEPLITZ

siągnięcia socjalistycznego budownictwa w egzotycznej dla Hindusa Moskwie, czy nad egzotyczną dla Hindusa Wisłą, patrząc obywateli Indii i Pakistanu ze wzruszeniem i nadzieją.

Widziałem wielu bohaterów filmowych bardziej porywających, niż Krisanto z „Kalkuckiego bruku”. Ale żaden bodaj z nich tak jasno nie uświadomił mi owej zasadniczej prawdy, że walka o lepszy świat jest jedna. Tego filmowi kolonizatorzy z Hollywood nie przesłonią żadnym listkiem figowym dziwności ani egzotyki, żadnymi palankinami ani fakirami.

Na twarzy kinematografii hinduskiej pojawił się pierwszy błysk sprzeciwu. Otrząśnięcie się z apatycznej drzemki, a wówczas — może już niedługo — imiona jej twórców staną dumnie obok imion naszych Pudowkinów.

ZBIGNIEW GADOMSKI



Główny tytuł (2)

STANISŁAW KOWALEWSKI

Ilustr. BARBARA PNIEWSKA

— Ja się z hitlerowcami nie kumałem, ludzie. A myślę, że ten cmentarz jest dla nas obcy.

Wysuwa się żona Feliksa Struve i zaczyna drżącym od wzburzenia głosem:

— Pastor, ewangelicki pastor to mówi? Tak uczy szacunku dla zmarłych, dla poległych bohaterów!

Twarz pastora ogarniają rumieńce.

— Nikt im szacunku nie chce odbierać — zaczyna, ale zagłusza go w jednej chwili chór podnieconych głosów.

Na schodkach werandy obok wójta i pastora staje nagle Marek Karelsen.

— Wróg wie, co robi! — mówi mocnym, przenikliwym głosem. — Bo ten, co planuje zamach na te groby, to wróg.

— Człowieku, opamiętaj się — szepce z tyłu wójt, ale Marek nie zwraca na to uwagi.

— Ma rację Jacobi, ma rację pastor, kiedy mówią, że to mogiły obcych. Dla nich one obce. I dobrze. Tak widać trzeba, ludzie, żeby to, co dla nich jest obce, dla nas było bliskie, najbliższe. Ten, co chce zniszczyć cmentarz, wie co robi. Każdej wiosny na ten cmentarz chodzimy i nasze kobiety, i nasze dzieci, żeby kłaść kwiaty na grobach radzieckich żołnierzy. I póki przez nasze krótkie lato, przez krótką jesień są jeszcze kwiaty — nigdy ich nie brak na tym cmentarzu. A dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że kiedy dla jednych okupacja była okazją do zysków, do złejszego życia, to dla nas była nocą, była zagładą. Dla nas — drwali, rybaków i rzemieślników. Radzieccy żołnierze przynieśli nam wolność. Radzieccy żołnierze zapłacili za nią swym życiem. Tu lała się ich krew, na tych łąkach i wzgórzach. I tu, a nie gdzie indziej, jest ich miejsce. Pośród nas, żywych ludzi, którzy ich pamiętamy i czcimy.

Karelsen panuje dobrze nad swym głosem, mówi pewnie, donośnie, jakby tymi słowami odkrywał przed ludźmi prawdę, która jest przecież tylko jedna.

Stoi w drelichowym, granatowym kombinezonie, w wielu miejscach pobrudzonym ciemnymi plamami żywicy. Z kieszeni wystaje mu żółty składany metr i gruby ołówek. Szczupłą, trochę przywidłą twarz ozywają czarne, lśniące, jak z agatu, żrenice. W ciemnych włosach widać srebrne pasma. Kiedy Karelsen stoi i spokojnie rozmawia z ludźmi, jego twarzy nie opuszcza nieustanny wyraz jakby lekkiej ironii, lecz kiedy mówi o mogiłach radzieckich żołnierzy, ten grymas niknie. Twarz Karelsena zdaje się wyrażać teraz czułość i wzruszenie.

Większość tutejszych ludzi zna dobrze Marka i jego surowe, obfite w doświadczenia życie. Pracował na kutrze rybackim i w fabryce konserw, organizował strajki, siedział w więzieniu przed wojną. I siedział w więzieniu za okupacji, ale uciekł hitlerowcom i walczył w partyzantce. Po wojnie zmienił już wiele razy miejsce pracy. Był i w fabrykach i w tartakach, pracował z drużynami drwali.

Marta stoi obok Agnes i zdaje się słuchać z wielkim napięciem słów mówcy, choć dotąd nie zeszła z jej oczu jakaś niepokojąca mgiełka, która jakby oddzielała ją od tego, co się tu dzieje. Agnes trzyma rękę Marty w mocnym uścisku. Nie wymknie się jej przyjaciółka. Nie wyrwie jej z uścisku Agnes żaden obcy niepokój.

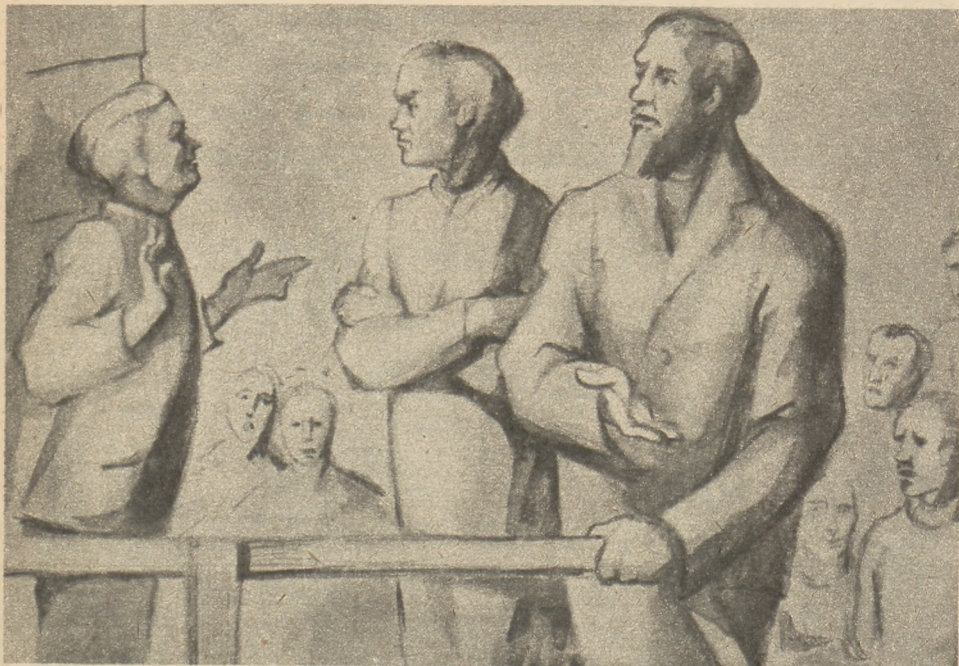
Marta czasem potrząsa głową, jakby chciała oprzytomnieć, odpędzić od siebie zły, przesładujący sen. Z czarnych włosów sypią się małe kropelki deszczu, toczą się po szyi, wpadają za kołnierz palta, zimne i dokuczliwe. Marta ich nie czuje.

Karelsen nagle zaczyna mówić głośnie.

— Pamięćcie, jak tu przyszli? Młodzi, serdeczni. Pamięćcie, jakeśmy ich witali? A potem tu, za wsią, hitlerowscy „gołębiarze” zrobili na nich zasadzkę. Na naszym cmentarzu leżą ofiary zdradzieckiej napaści. Polegli. Ale hitlerowcy już do naszej wsi nie wrócili. Naszą wieś obronił żołnierz radziecki. Pamiętamy to wszyscy. I rozmowy z nimi o tym, jak jest u nich, a jak było u nas. Tylu, tylu z nas myślało, że ci żołnierze przynieśli nam jeszcze i inną wolność. Wolność od krzywdy, od nędzy. Ale żołnierze odeszli, a my tutaj wróciliśmy do tej starej wolności, która nie jest wolnością.

Wójt macha rozpaczliwie rękami, jakby chciał wszystkich obecnych wezwać na świadków, jak dalece jest przeciwny wystąpieniu Marka.

Ale Karelsen nie patrzy teraz na stojących obok. Musi wypowiedzieć się do końca. Musi zebranim wyrazić bez reszty swoją myśl, aby wszystko, co mówi do nich, było dostatecznie jasne i wyraziste.



Przyszli tu żołnierze. Bili się. Ginęli. Wypędzili hitlerowców. Tu ich cmentarz. Umarłych z grobu wypędzać będziecie?

— Pchają nas do awantury wojennej — woła. — Chcieliby nas uzbroić przeciw tym, którzy przynieśli nam wolność od hitlerowskiej zagłady. Nie podobają im się te kwiaty na cmentarzach po naszych wioskach. Chcieliby przepędzić stąd tych, którzy tę ziemię napoiли własną krwią. Chcieliby wygnać ich z naszej pamięci, z naszych serc. A my tych mogli nie damy. Bo są nasze. Bo przypominają nam inne, lepsze życie.

Marek schodzi ze schodków. Wójt próbuje coś mówić, ale zaraz za Markiem wchodzi na werandę Tomasz.

— Mówił Karelsen o tym innym życiu — zaczyna powoli i od razu po pierwszych jego słowach można się zorientować, że Tomasz nie potrafi przemawiać do tłumu.

— Ja chciałem tylko jedno przypomnieć wam, ludzie. O tym, jak wysłano „Annę Luizę” na połów śledzi. Ciężko było, więc się zaciągnęliśmy, choć wszyscy wiedzieli, że „Anna Luiza” nadaje się od dawna na złom, a nie na morze. Był głód, było źle, tośmy się zaciągnęli. I tylko wam to przypominam, że z naszej wsi ośmiu chłopców nie wróciło wtedy do domu. Byłem na tym statku, widziałem. Byłem w czasie burzy. A to wcale nie była taka wielka burza... I ośmiu naszych nie wróciło i jeszcze wielu z innych wsi. Ten wrak i jeszcze inne takie wraki kupiło Towarzystwo Norwesko - Amerykańskie. Wysoko asekurowali i puścili na morze. No, i tylko to chciałem wam powiedzieć, ludzie.

Tomasz stoi i posapuje, jak po jakimś wielkim wysiłku. Na czole pojawiły mu się kropelki, ale nie są to kropelki deszczu.

— Bzdury! — woła wójt. — Co to ma wspólnego z cmentarzem radzieckim?

Tomasz obraca się powoli i wyciąga rękę w kierunku wójta, jakby chciał mu grozić, i wszyscy w napięciu obserwują jego ruchy.

— To ma wspólnego, wójt — mówi powoli, z trudnością — że to ci sami. Ci sami, co im te groby tu zawadzają. Tacy, co nie szanują ludzkiego życia.

I ludzie z wielu stron wołają:

— Dobrze, Tomasz! Dobrze mówisz!

Ale inni stoją w milczeniu. Widać, nie wszystko, co mówił Marek i Tomasz, trafiło im do przekonania.

Stary Myrgal, dawny kapitan szkunera, rzuca w tłum:

— I jeden i drugi komuniści. A wy słuchacie wszystkiego, co gadają.

I ktoś, tuż za plecami Myrgala, mówi:

— Agitacja!

To młody Ole Skörjen. Ole jest wysoki, przystojny. Ma na sobie kolorowy, wyszywany sweter i zgrabne, narciarskie spodnie. Z niesmakiem słucha mówców. Ma o całej sprawie swoje własne, wyrobione zdanie. Powtarza znów z pogardliwym lekceważeniem: agitacja — tak, jakby chciał tym sprowokować czyjeś wystąpienie. Ole nie był kolaborantem, przeciwnie, należał do tych żołnierzy, którzy do ostatka bili się z hitlerowcami. Dlatego też pozwala sobie wodzić wokół po stojących chłodnym, prawie impertynentnym spojrzeniem. Ale wzrok jego naraz spotyka kogoś, czyj widok go peszy. Nagle traci poprzednią pewność siebie.

Słowa starego Myrgala i Ole w lot chwytają pastor, na jego twarz powraca uśmiech.

— Myślę, że nie wszyscy... — zaczyna trochę drżącym głosem.

Teraz huczy Olaf.

— Wiemy, komu zawadzają tu groby! Kto tu się wtrąca do wszystkiego! Goście zza Oceanu.

Olaf rozgląda się po stojących wokół. Góruje nad większością wzrostem, nie potrzeba mu schodków werandy, by i tak być widzianym.

— Musimy postanowić. Jeśli bronimy cmentarz, to całą gromadą.

Zza pleców Olafa wyrasta jeszcze młody marynarz, Simensen, który niedawno przybył na urlop do rodziców. I on ma coś do powiedzenia.

— Panowie Amerykanie — woła — nikogo ani niczego nie uszanują. Żadnych praw człowieka. Tu chcą cmentarz niszczyć...

— Jacy znów Amerykanie — woła ze złością Myrgal. — Tu decydują nasze władze. Nasze!

Simensen nie zwraca uwagi na starego.

— Słuchajcie! Wieźli teraz na swoim transportowcu żołnierzy, gdzieś do Niemiec zachodnich. Była mgła. Jechali bez sygnałów. Rozbili argentyński statek pasażerski. Były tam setki ludzi. A panowie Amerykanie, jak gdyby nic — dalej płyną, choć na morzu roi się od tonących. Nikogo nie ratowali. Dopiero nasz statek nadpłynął i kogo się jeszcze dało, ocalił. Tacy są Amerykanie. Tak szanują człowieka. Taki mają honor. Nie wierzę, że to nasz rząd, że nasi ludzie chcieliby niszczyć te cmentarze. To Amerykanie kazali.

— A nasi słuchają — dorzuca ktoś z obecnych.

— Nie wiadomo, kto gorszy. Taki, co rozkazuje, czy taki, co słucha rozkazów!

Olaf zwraca się do starszego mężczyzny, który stoi w głębi werandy.

— Nauczycielu Petersen, wy powiedzcie, co myślicie.

Petersen jest bardzo blady. Jasno rudawe włosy przylegają mu do głowy jak zmoczone. Na wezwanie Olafa wzrusza niezdecydowanie ramionami.

— Powiem wam — mówi — że dotąd nie wierzę, nie mogę uwierzyć w te wieści o niszczeniu grobów. Ja nie chcę naprawdę patrzeć na świat zbyt pogodnie. Wiem, że zdarzają się błędy, że zdarzają się i lotrostwa. Nie brak ich. Ale, widzicie, dotąd nie mogę uwierzyć w taką podłość. Niszczenie cmentarzy żołnierzy, którzy nas ocalili? Że rząd nasz mógł się na to zgodzić. Nie wierzę.

Pastor się krzywi i wymienia z wójtem jakieś poufne uwagi ścisłym głosem.



Pastor milknie, spogląda zza okularów swymi pocziwymi, brązowymi oczyma.

nasz fotokorespondenci donoszą

ŻOŁNIERZE ORGANIZUJĄ WYSTAWĘ

Żołnierze z pododdziału oficera Przemyskiego zorganizowali w miejscowej świetlicy wystawę książki i prasy radzieckiej. Zwiększyła ona zainteresowanie przychodzącymi do jednostki czasopismami ilustrowanymi: „Sowietskij Sojuz”, „Ogoniok”, „Krokodil”. W czasopiśmie tych nie tylko treść artykułu, ale i fotografie czy rysunki dają sposobność szerszego poznania życia narodów radzieckich, ich pracy i twórczości.

Na korytarzach, wiodących do świetlicy, rozmieszczono karykatury polityczne, które z „Krokodila” skopiowali i powiększyli kapral Olech Płonka i starszy szeregowiec Jerzy Urbański.

Kpr. Jerzy Sowa, Bytom
Zdjęcia: kpr. T. Skrzyszewski.



Żołnierze Płonka i Urbański kopiują karykatury polityczne rysowników radzieckich.

PIERWSZE W POLSCE MUZEUM APTEKARSTWA



Naczynie z kryształowego szkła do przechowywania lekarstw (koniec wieku XVIII).

Najwięcej muzeów jest w Krakowie, tam też powstał niedawno Muzeum Historii Aptekarstwa Polskiego.

Zorganizował je dr. Stanisław Frau. Już w roku 1946 rozpoczął wędrowkę po strychach i piwnicach wszystkich aptek Ziemi Krakowskiej, a ilość eksponatów rosła z każdym dniem. Po upływie niespełna sześciu lat było już ich 2500. Ponieważ dr Frau myślniejąc po całej Polsce nie ustaje w swym zbieractwie, eksponatów stale jeszcze przybywa.

Zbiory otwierają portrety wybitnych farmaceutów, jak Floriana Sawiczewskiego, Ignacego Łukaszczyka, Szastra i innych. Z pozostałych działów największe zainteresowanie budzą moździerze, piwnica apteki dawnego typu i starodruki.

Wśród moździerzy jest jeden wykonany z marmuru krzeszowskiego wagi 150 kg. Obok leży odważnik kamienny 11-funtowy, pochodzący z XVI wieku. Tutaj też podzi-



Moździerze z XVII, XVIII i XIX wieku.



Fragment sali muzealnej.



Frezer Edmund Rosiński pracuje w „Ursusie” od 1945 roku. Przedtem praktykował u kowala i dopiero w naszych Zakładach mógł pogłębić i udoskonalić kwalifikacje zawodowe i stworzyć sobie dogodne warunki bytu. Od dawna stale przekraczał 400% normy, toteż zadania, przypadające na niego w ramach Planu Sześcioletniego, wykonał już w dniu 9 października.

piśmienne przepisy aptekarskie, liczne dyplomy i fotografie zabytkowych aptek Ziemi Krakowskiej.

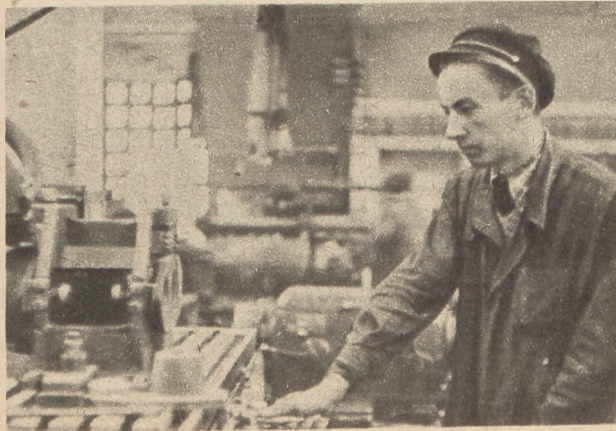
W przyszłości Muzeum Historii Aptekarstwa uruchomi szereg nowych działów. Między innymi projektuje się odtworzenie aptek z różnych wieków.

Zdzisław Okuniewski,
Zdjęcia: J. Wandzilak,
Kraków

PIERWSI WŚRÓD MŁODZIEŻY „URSUSA”

Frezer Bogusław Książek pracuje w „Ursusie” od 1949 roku. Jednocześnie z Rosińskim przekroczył Plan Sześcioletni i wszedł w nowy dla siebie okres produkcyjny, realizuje już bowiem zadania, jakie normalnie przypadłyby mu w udziale w Planie Pięcioletnim.

Obaj są członkami ZMP.
W imieniu Komitetu Fa-



Witold Michalak,
Ursus k/Warszawy

TEATR IM. MOSSOWIETU W „URSUSIE”

W objędzie po Polsce Teatr Dramatyczny im. Mossowietu dał również przedstawienie w Klubie Fabrycznym Zakładów Mechanicznych „Ursus”.

Na program złożyły się fragmenty sztuk: Anatola Surowa („Swit nad Moskwą”), Aleksandra Ostrowskiego („Piękny mężczyzna”), Bill-Bielocerkowskiego („Sztorm”), Antoniego Czechowa („Dyplomata”) oraz wiersze Pablo Nerudy i poetów chińskich.

Po przedstawieniu do założyci „Ursusa” przemówił kierownik zespołu Jurij Zawadski. Przemówienie to zakończyła burzliwa owacja na cześć przyjaźni polsko-radzieckiej, Generalissimusa Stalina i Prezydenta Bieruta.

Eugeniusz Zieliński, Ursus



Przemawia Jurij Zawadski

DRUŻYNA KOBIECA PROWADZI POCIĄG



To zdjęcie ma znaczenie historyczne, data: 25 października 1952 roku.

Co się wtedy stało?

Na III peronie dworca olsztyńskiego zebrał się przedstawiciel władz, aby powitać pierwszy w Polsce pociąg całkowicie obsługiwany przez drużynę kobiet. Punktualnie o godzinie 16.06 przy dźwiękach marsza kolejowej orkiestry wjechał na stację pociąg osobowy Nr 1134. Genowefa Woronowska, maszynista parowozu OK 1-331 i Gertruda Kossakowska, kierownik pociągu, dyżurnemu ruchu, również kobiecie, Teresie Zapolskiej, złożyły krótki meldunek służbowy.

„Ta samodzielna jazda drużyny kobiecej jest olbrzymim, wspólnym naszym sukcesem, Partii, Związku i administracji — powiedział wiceprzewodniczący Zarządu Okręgowego ZZK, ob. Stepien.

Na zakończenie uroczystości wręczono całej drużynie paro-

wozowej i konduktorskiej oraz dyżurnemu ruchu, Tere-

Tomasz Szymaszek,
Olsztyn

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

NASZA NAGRODA DLA FOTOKORESPODENTÓW REFLEKTA II

Aparat ten znanej wytwórni niemieckiej „Welta” należy do grupy tzw. lustrzanki „dwuokich”, to znaczy posiadających dwa obiektywy. Jeden z nich tworzy obraz na negatywie, drugi zaś rzutuje go za pośrednictwem lusterka, ustawionego pod kątem 45 stopni, na matówkę, dla lepszej widoczności osłoniętej ściankami. W lustrzankach „jednookich” — ten sam obiektyw tworzy obraz na negatywie i na matówce. Najpierw więc obraz tworzy się na lustrzku, które jednak, z chwilą naciśnięcia wyzwalacza migawki, podnosi się do góry, odsłaniając płaszczyznę negatywu.

Niewątpliwie jeden i drugi rodzaj aparatów lustrzanych ma swe specjalne zalety: przy lustrzankach „jednookich” odpada na przykład niebezpieczeństwo dwuwglądu (paralaksy), możemy nadto stosować obiektywy wymienne i wszelkiego rodzaju soczewki nasadkowe bez konieczności użycia celowników dodatkowych. „Dwuoka” natomiast lustrzanka pozwala nam na kontrolę kompozycji i ostrości obrazu do ostatniej chwili przed wykonaniem zdjęcia. Warto tu przypomnieć, iż jeden z najpopularniejszych na całym świecie aparatów, „Rolleiflex”, wypróbowane narzędzie pracy fotoreporterów prasowych i fotografów artystów, to właśnie lustrzanka o dwóch obiektywach. Z „Reflekty” otrzymujemy zdjęcia formatu 6 x 6 cm. Format ten zdobywa sobie dziś powszechne uznanie. Kwadratowe rozmiary obrazu ułatwiają kadrowanie w czasie powiększania. Przy lustrzance jedno-obiektywowej skazani jesteśmy przeważnie na format poziomego prostokąta (zwykłe 6x9), a zdjęcie w formacie pionowym jest skomplikowane, gdyż na lustro trzeba spojrzeć z boku, co utrudnia bardzo pracę. Rozmiary 6x6 cm są wystarczające, aby otrzymać dość duże i nienagannie ostre powiększenia. Mniej wymagający fotoamatorzy mogą pozostać przy odbitkach stykowych, które są dość wyraźne i można już je wklejać do albumu rodzinnego na pamiątkę.

Aparat „Reflekta” wyposażony jest w precyzyjny, ostro rysujący anastigmat o sile światła 1:3,5, dający wszechstronne niemal możliwości zdjęć. „Reflekta” produkowana jest w dwóch odmianach — model tańszy posiada migawkę „Velax”, o szybkościach od 1/10 do 1/200 sek. i urządzeniu na zdjęcia czasowe; model droższy wyposażony jest w migawkę „Prontor-S”, o szybkościach od 1 sek do 1/300, nastawienie na zdjęcia czasowe i wbudowany samowyzwalacz. Oba te rodzaje migawki posiadają sprzężone urządzenia do lamp błyskowych.

Aparat „Reflekta II” posiada wbudowaną lupę, dającą dwukrotne powiększenie obrazu oglądanego na matówce, celownik ramkowy do zdjęć sportowych, zabezpieczenie przed podwójnym naświetleniem negatywu. Mocny i elegancki futerał skórzany uzupełnia całość wykonaną solidnie i estetycznie.





OD LEWEJ: PACH, MAKLAKIEWICZ, BRONKA I JASIEK OBROCHTOWIE.

WIAETR HALNY

KIEDY się idzie w Zakopanem od Krupówek w stronę Kuźnic, znachodzi się na rozwidleniu ulic pomnik dra Chałubińskiego — odkrywcy Zakopanego. Niżej popiersia sławnego doktora tkwi, odlany w brązie, nie mniej sławny góral-bajczarz i muzykant, Jan Sabała. Siedzi, jakby się zbierał do gawędy. W rękach trzyma gęśliki.

Kiedy się idzie drogą pod Reglami w stronę Kościelisk, znachodzi się drewnianą kapliczkę na słupku. Upamiętnia ona śmierć Bartusia Obrochty, sławnego skrzypka, fundatora sławnej po dziś rodzinnej kapeli Obrochtów — przyjaciela i inspiratora Karola Szymanowskiego. Bartuś wracał był pod Reglami do domu, a była noc i mróz, więc zmarzł. Kiedy go znaleźli martwego, trzymał w rękach gęśliki.

Dla górali muzyka i poezja tkwiąca w gawędach były zawsze i pozostały potrzebą każdego dnia i każdego człowieka. — Dziś żyje w Zakopanem Adam Pach, wnuk Jana Sabały, a zięć Jasia Obrochty, Bartusiowego syna. Z zawodu kontroler stacji sanitarnej, z amatorstwa i umiłowania Pach jest właśnie poeta ludowym.

Ten Pach powziął zamiar nie byle jaki: napisać góralską operę! — Do roboty zabrał się z prawdziwie chłopskim uporem. W niecały miesiąc naszkicował 4 akty libretta. Z Ministerstwa Kultury i Sztuki otrzymał na to stypendium.

Muzykę podjął się skomponować Jan Maklakiewicz. Zaczął przyjeżdżać do Zakopanego i chodzić do chat góralskich, między Obrochtów, Gąsieniców, Futrów i Maślaków, aby słuchać u samego źródła autentycznych melodii ludowych.

W czasie którejś z takich wizyt pod dachem Obrochtów Maklakiewicz usłyszał piosenkę, nuconą przez Bronkę Obrochtową. Czy Bronka znała tylko jedną? — Nie! Okazało się, że Bronka pamięta z czasów dziecięcych wiele starych pieśni, które dziadek jej wyśpiewywał wnukom do snu i przy zabawie. I zaczęła się nauka. — Nieco dziwna nauka, bo nauczycielką była pro-

sta chłopka, a uczniem profesor konserwatorium. Bronka wygrzebywała z mroków zapomnienia coraz to starsze melodie i śpiewała je Maklakiewiczowi, a kompozytor zapisywał papier nutowy.

Tak to Pach i Maklakiewicz dobrali się w swym umiłowaniu muzyki. Podhala i tworzą wspólnie operę „Wiatr halny“. Codziennie przychodzi Pach do Maklakiewicza, tu omawiają poszczególne części utworu, szkicują sceny zbiorowe, arie i duety. Kompozytor mając przed sobą tekst libretta, ożywia go muzyką, a kiedy fraza muzyczna potrzebuje innego wyrazu słownego, Pach kreśli nowe wiersze, poprawia dotychczasowy tekst, szuka najlepszych słów dla oddania nastroju muzycznego i sytuacji.

Bohaterem „Wiatru halnego“ jest przesławny zbrojnik tatrzański z początku XVIII wieku — Janosik. Akt pierwszy rozgrywa się w zamku feudalnego pana na Orawie, gdzie Janosik pełni służbę wartownika. Nie mogąc znieść okrucieństwa, z jakim starosta traktuje poddanych chłopów i pojmanych więźniów, Janosik buntuje się. Uchodzi w Tatry wraz z umiłowaną dziewczyną i wypuszczonymi przez siebie na wolność więźniami. — W dalszych aktach towarzyszymy przygodom zbrojników w górach, by wreszcie zobaczyć, jak płonie zamek starosty i jak mienie jego, zrabowane na chłopach daninami pańszczyźnianymi, zbrojnicy rozdają z powrotem między lud. Lud śpiewa:

Goręje, goręje zamek jaśnie pana,
Oświecił się w Tatrach niejedna polana.
Zameczek na Wagu zbrojnicy spalili,
Talary zabrali, a pana zabili.

Bo jak wiatr halny zmiata z powierzchni ziemi najmocniejsze smutki, tak burze dziejowe wymiotły z historii feudalów i ich zamki, które uchodziły za niezdo- byte.

Tak tłumaczy się tytuł nowopowstającej opery.

Wg. materiałów dostarczonych przez:

ZBIGNIEWA PRZYGÓRSKIEGO

Fot. W. WERNER



PACH ILUSTRUJE LIBRETTO WŁASNYMI PROJEKTAMI DEKORACJI.

PIEŚNIARZ

PRZEBUDZONEJ TAJGI

Przed laty, na jachcie „Pallada“, pisarz rosyjski Gonczarow przedsięwziął wyprawę w tajgę nad Amurem. Tajemniczy, niezbadany kraj, bezludne obszary i pustkowie leśne wywarły na nim przykre, przygniatające wrażenie.

Gonczarow, autor głośnej powieści pt. „Obłomow“, zjadliwej satyry na carską Rosję, nie był pesymistą z natury. Smutek jego powieści wynikał z głęboko realistycznej oceny rzeczywistości carskiej Rosji, tego królestwa mroku i zacofania. Trudno było wtedy rosyjskiemu pisarzowi uwierzyć w przyszłość egzotycznego kraju, który rozciągał się przed jego zdziwionymi oczami. Trudno mu było nawet sobie wyobrazić, iż ziemia ta, bezludna i głucha, zatętni kiedyś prawdziwym życiem... I oto przyszła Rewolucja Październikowa. Echa jej rozległy się także w dalekiej tajdze nad Amurem. Leśny kraj napełnił się ludzkim rozgwarem, rozległ się łomot młotów i świrów. Zaludnił się kraj nad Amurem. Nad nowymi osiedlami i miastami zadymiały kominy fabryk. Przebudzona tajga doczekała się także swego pieśniarza.

Surowa i majestatyczna przyroda tego kraju oraz walka i praca jej gospodarzy, prostych radzieckich ludzi — oto źródło urzekającego talentu młodego, przedwcześnie zmarłego radzieckiego poety, Piotra Komarowa.

Piotr Stefanowicz Komarow urodził się w 1911 roku we wsi Bajewo Nowogrodzkiej gubernii. Miał lat siedem, kiedy rodzice jego osiedlili się na Dalekim Wschodzie. Pierwsze wiersze młodziutkiego poety ogłoszone w miejscowej i centralnej prasie zwróciły uwagę krytyki i budziły zachwyt radzieckich ludzi Dalekiego Wschodu, którzy w wierszach tych odnajdywali siebie.

Komarow, podobnie jak wybitny poeta radziecki, Szczepaczew, doprowadził do perfekcji krótki wiersz liryczny, który z ujmującą prostotą i głębią wyraża charakter, myśli i uczucia radzieckiego człowieka. W lirycznej i najbardziej osobistej wypowiedzi poety czytelnik znajduje uogólniony obraz lub myśl, głęboko tkwiącą w doświadczeniu współczesnych.

Przywiązanie poety do Przyamurskiego kraju nie ma nic wspólnego z ciasnym regionalizmem czy egzotyczną idealizacją. Komarow nie tyle zachwyca się tajgą, krzewem winorośli pnącym się na modrzewiu, „drzewem aksamitnym“ czy egzotyczną fauną tego kraju, ile człowiekiem który tajgę ujarzmił.

Poeta zmarł w młodym wieku (w r. 1949) był wnikliwym obserwatorem życia — umiał pokazać w każdym nowym szczególe czystego krajobrazu nowe elementy zarysowującego się komunistycznego pejzażu. Wyrażał nie tylko swoją nadzieję, lecz także nadzieję wszystkich szlachetnych ludzi naszego czasu.

(A. S.)

PIOTR KOMAROW

WIECZÓR NA SUNGARI

Niejeden tu zmierzyliśmy gościniec,
Ile ścieżyn wydeptanych w skałę!

Czyż nie wczoraj rozległ się w Sansinie
Nadwożański, tak znajomy dialekt?

Czyż nie wczoraj serce twoje wzruszył
Dźwięk znajomy i te słowa bliskie,
Kiedy rzewną piosnkę o Katuszy
Dziewczę zanuciło sungaryjskie...

My pójdziemy dalej w tenże wieczór,
Tam gdzie zachód płonie nad wzgórzami;
Mandżur długo patrzy w ślad za nami
W swoim błogosławi nas narzeczu.

*
*
*

Często nas nawiedza, niby zjawą
Geograf, co przez leśną szedł gęstwinę,
Rzekom bezimiennym on nadawał
Nazwy; każdej górze wybrał imię.

Myśmy nie uczeni, tylko drwale,
Robotnicy lasów tych jesteśmy.
Jednak myśmy miasta te nazwali
i te stacje w labiryncie leśnym.

Przełożył: ARNOLD SŁUCKI

POŻEGNANIE Z TRUMANEM



Posada czeka...

Francuski dziennik pracowniczy „L'Aurore” w korespondencji własnej z Waszyngtonu odsłania zamiary na przyszłość stałego klienta naszej rubryki — Harrego Trumana. Dowiadujemy się, że teoretycznie Truman będzie miał po opuszczeniu Białego Domu prawo do pensji miesięcznej 95 dolarów jako... emerytowany pułkownik (tak, tak, służyło się kiedyś w kantine wojskowej). Dziennikarz francuski H. Frantz przypuszcza jednak, że skoro Truman miał jako prezydent 100.000 dolarów rocznej pensji (plus 50.000 dodatku reprezentacyjnego), to „uszkładał sobie pewne oszczędności”.

Obok propozycji nabywania pamiątek b. prezydenta, Truman ma też kilka posad na widoku. Najważniejsza — to stanowisko wicedyrektora działu sprzedaży w pewnej fabryce kapeluszy w stanie Teksas. Dla byłego handlarza krawatów i szalek — propozycja ponętna. Tylko co będzie z Trumanówną? Już jako córka prezydenta USA nie miała wielu wielbicieli swego talentu śpiewaczego. I do tego, aż strach pomyśleć, że w Teksasie żywe są jeszcze ciągle tradycje strzelania z pistoletów do kiepskich pianistów i złych śpiewaczek, jak o tym świadczą napisy w rodzaju: „Nie strzelać! Grajek robi, co może”.

Wydawca zachodnioberliński, Paul Lipa, postanowił zrobić trochę forsy na propagandzie rewizjonistycznej. Wydał przeto kolorową i bardzo ozdobną mapę Niemiec, opatrzoną bombastycznym tytułem „O czym nie wolno zapominać”. I, oczywiście, na mapie tej polskie Ziemie Zachodnie znalazły się w granicach Niemiec. A wśród herbów „niemieckich” prowincji znalazły się herby Śląska, Pomorza, Prus Wschodnich i Gdańska.

Zachwycony swym dziełem, pan Lipa zapragnął uzyskać dlań błogosławieństwo arcy-odwetowca, ministra Seehofera, który w bońskim rządzie piastuje tekę komunikacji. Pan Lipa rozumował bowiem, że mapa jego powinna mieć zbyt wśród najczarniejszych reakcjonistów i hitlerowców Trizonii. Jeśli więc zaleci ją swym kompanom Herr Seehofer, to mapka pójdzie jak woda. I tu spotkało pana Lipa grube rozczarowanie. Okazało się, że nie ma on zielonego pojęcia o rzeczy.

Oto, co na temat mapki napisał panu Lipa Herr Seehofer na oficjalnym blankiecie „Bundesminister fuer Verkehr”:

O CZYM NIE WOLNO ZAPOMNIEĆ



„Muszę Panu powiedzieć, że jestem... do głębi rozczarowany, iż ograniczył się Pan do tych tylko terytoriów, które Niemcom pozostawił Traktat Wersalski, co prawda włączając Gdańsk. Ale fakt, że wschodnią część Górnego Śląska, jak również niemieckie okręgi Poznania i Prus Zachodnich, a przede wszystkim całe Sudety pozostawił Pan poza zasięgiem swej mapy, zaskoczył mnie niesłychanie...”

„Moim zdaniem, nie należy pod hasłem „O czym nie wolno zapominać” na mapie „Niemieckiego Wschodu” pomijać tego wszystkiego, co było niemieckie, jest niemieckie i będzie niemieckie, nawet jeśli te ziemie w latach 1919—1939 do państwa niemieckiego nie należały”.

Rugając niefortunnego wydawcę za „oportunizm”, dygnitarz boński wyraża w końcu pogląd, że mapa

nie powinna w ogóle zawierać wyraźnie zarysowanych granic na wschodzie. Pan Seehofer jest bowiem zwolennikiem „Lebensraumu” aż po Ural.

Pan Seehofer powinien sobie w gabinecie powiesić mapę, gdzie będzie figurowała jedna tylko miejscowość: STALINGRAD. A nad tym napis z mapy pana Lipa: „O czym nie wolno zapominać”.



...kapelusze świetnie leżą

Podnieceni zbójeckimi wyczynami kolonizatorów brytyjskich w Kenii i faszystów Malana w Afryce Południowej — zapragnęli przypomnieć się światu starzy kolonizatorzy niemieccy z Afryki Południowo-Zachodniej. Mają oni przecie nie lada osiągnięcia własne i w krwawym współzawodnictwie nie łatwo ich wyprzedzić.

Oto mija właśnie pół

wieku, jak niemieckie wojska kolonialne w Afryce Południowo-Zachodniej stłumiły powstanie plemienia Hererów, mordując w rekordowym czasie 60.000 mężczyzn, kobiet i dzieci. Weterani tej krwawej masakry, żołnierze kajzerowskich pułków kolonialnych, żyją po dziś dzień w Afryce Południowo-Zachodniej, która po pierwszej wojnie światowej

przestała być kolonią niemiecką. Oddano ją jako mandat Ligi Narodów rządowi Unii Południowo-Afrykańskiej. Niedawno zaś faszystowski rząd Malana anektował bezprawnie Afrykę Południowo-Zachodnią i włączył do Unii Południowo-Afrykańskiej. Koloniści niemieccy stanowią podparcie faszystowskiego rządu Malana i cieszą się jego wielką sympatią.

Przed paru dniami w Swakopmund odbyła się wielka rewia byłych żołnierzy cesarsko-niemieckich wojsk kolonialnych. Pomnik, wystawiony ku czci tych, którzy mordowali Hererów, ozdobiono flagą cesarsko-niemieckiej marynarki wojennej. A ulicami miasta przemarszerowały oddziały Niemców w mundurach dawnych wojsk kolonialnych. U boku starych weteranów kroczyli młodzi



Pod cesarsko-niemiecką flagą...

chłopcy, również przybrani w dawne mundury.

Militaryzm pruski rozkwita pod opiekuńczymi skrzydłami imperializmów w różnych szerokościach geograficznych.

NAJLEPSZE REFERENCJE



Wzór...

Nie wątpimy, że tak jak jego poprzednik, tak i nowoobрани prezydent Stanów Zjednoczonych, gen. Eisenhower, będzie naszym stałym gościem na tej stronie. Referencje ma jak najlepsze, gdyż jako ojciec tzw. „armii europejskiej”, położył wielkie zasługi przy odbudowie nowego Wehrmachtu. Jego oświadczenie „przeszłość należy do przeszłości”, spotkało się z uznaniem hitlerowskich przestępców wojennych, dla których rezerwuje tłuste posadki. Ręka rękę myje. Referencje od hitlerowców też ma jak najlepsze. Zbrodniarz wojenny Heinz Guderian (specjalista od broni pancernej) na stronie 86 swej książki pi-

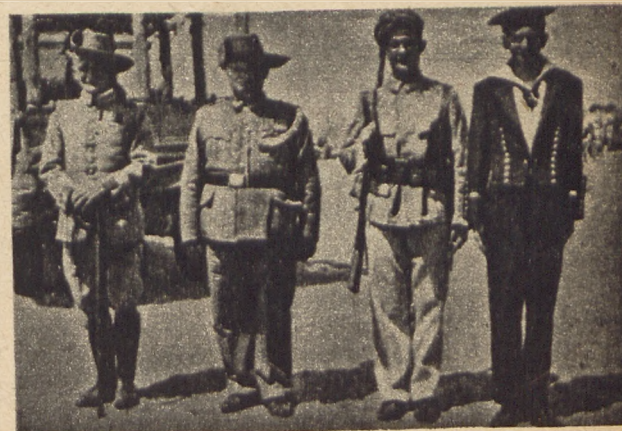
„Istotnie, drogi Eisenhowerze, w roku 1945 złożył pan wstrętne oświadczenie; był pan przecież związany przymierzem. Mówił pan o wykorzenieniu militarizmu i faszyzmu. Ale, na szczęście, zmienił pan swe poglądy i zwrócił pan żołnierzowi niemieckiemu jego honor”.

Zbrodniarz wojenny marszałek von Manteuffel dowodził czołgami hitlerowskimi podczas ofensywy w Ardenach. Był on też dowódcą osławionej dywizji „Grossdeutschland”; Hitler odznaczył go „Krzyżem Rycerskim Żelaznego Krzyża z mieczami i diamentami”. Von Manteuffel oświadczył:

„Eisenhower jest właściwym człowiekiem do prowadzenia „armii atlantyckiej”.



...i naśladowca



...paradowali mordercy Hererów.

Drodzy Czytelnicy!

Wśród wielu uwag, skierowanych przez Czytelników pod adresem naszego pisma, przewija się nader często sprawa recenzji i informacji o książkach. Poszczególne uwagi, które znajdujemy w różnych listach, znalazły wyraz w korespondencji ob. Strzeleckiego z Warszawy.

„Chociaż w ciągu ostatnich tygodni — pisze ob. Strzelecki — „Świat“ regularnie zamieszcza większe i mniejsze recenzje z książek pisarzy polskich i omówienia dzieł pisarzy zagranicznych, nie dość jeszcze wszechstronnie informuje nas o nowych pozycjach wydawniczych. Rozumiem doskonale, że „Świat“ nie może zamieścić naraz kilku obszerniejszych recenzji, ale mógłby przecież omówić w rubryce „Świat książek“ dwie do trzech pozycji w sposób nieco lapidarniejszy. Niezależnie od tego, wydaje mi się pożyteczne wprowadzenie czystej informacji, notatki bibliograficznej, dotyczącej nowości wydawniczych, bo przecież nie każdy posiada w domu specjalne katalogi. Taka rubryka „Co czytać“ ma jeszcze tę zaletę, że proponuje dobrą, ciekawą i pouczającą lekturę, niejako wybór najcenniejszych pozycji wydawniczych.

Pisząc w sprawie popularyzacji książek przez tygodnik „Świat“, nie mogę ominąć również pewnego braku, który — moim zdaniem — da się zaobserwować nie tylko przy czytaniu Waszego pisma, ale i innych periodyków i pism codziennych. Brakiem tym jest bardzo rzadka informacja i recenzja z książek i broszur o charakterze politycznym, społecznym i popularno-naukowym“.

Ze wszech miar słuszne uwagi ob. Strzeleckiego dotknęły niewątpliwie słabej strony naszego tygodnika, i nie będziemy nawet usiłowali się bronić. Natomiast zapewniamy go — jak zresztą innych naszych Czytelników — że już w najbliższym czasie rozszerzymy nasz dział poświęcony książce, stosując bardziej urozmaicone formy informacyjne i recenzyjne.

ŚWIAT



nasze gospodarstwo

AROMATYZOWANIE POTRAW

„Ścisłą granicę między tzw. ziołami leczniczymi i przyprawami kuchennymi przeprowadzić jest bardzo trudno“.

(Prof. dr Jan Museyński
Dziekan Wydziału Farmaceutycznego U. Ł.)

Aromatyzowanie potraw ma na celu nie tylko podniesienie

smaku posiłku, a co za tym idzie pobudzenie apetytu, ale i wprowadzenie pewnych składników, które dają pożytek organizmowi.

Do niedawna tzw. przyprawy „korzenne“ były prawie wyłącznie sprowadzane zza granicy; obecnie jednak dajemy do tego, aby do naszej



ROZWIANA LEGENDA

W roku 1948 ukazała się w Szwecji książka naukowa prof. Pattersona, zatytułowana „Zagadki morskich głębin“. Autor jej, znany podróżnik i oceanograf, powołując się na prace francuskiego fizjologa Fontaine'a, uważa, że żywe organizmy nie mogą istnieć pod ciśnieniem większym, niż 600 atmosfer, i pisze w swoim dziele: „Oznacza to, że na głębokości 6—7 tysięcy metrów nie może istnieć w morzu życie organiczne. Wynika z tego, że około 5.000.000 kilometrów kwadratowych dna morskiego stanowi martwą pustynię“.

Twierdzenie to obalili niedawno uczeni radzieccy. W pobliżu wysp Kurylek udało się wyłowić i zbadać ryby i raki z głębokości ponad 8 tysięcy metrów. Wyniki tych badań pozwalają sądzić, że organizmy żywe istnieją na każdej głębokości oceanu, do ponad 10 kilometrów głębokości.

Jeszcze jedna legenda rozwiana.

WYSPA, KTÓRA ZNIKŁA

Powolne ocieplanie się Arktyki jest już stwierdzonym przez naukę faktem. I to niewyjaśnione jeszcze do końca zjawisko pata geografom nieoczekiwane psikusy. Tak na przykład ostatnio trzeba było z map archipelagu Nowosybirskiego (między Morzem Łaptiewych a Morzem Wschodnio-Syberyjskim) wykreślić wyspę Wasylewską. Wyspę tę stanowił ogromny blok lodu, pokrytego ziemią. Lód w ciągu ostatnich lat stał, ziemia osiadła na dnie morza — i wyspa znikła.

WODA POD UCISKIEM

W średniowieczu rozpowszechniony był wśród uczonych pogląd, że wodę zgnieść można, aczkolwiek pod dużym ciśnieniem, i wtedy wyraźnie zmniejszy ona swą objętość.

Niedawno fizycy i oceanografowie dokonali ciekawego obliczenia, opierając się na danych o głębokości oceanu i ściśniętości wody. Wyliczyli oni mianowicie, że gdyby wody mórz i oceanów, ściśnięte panującymi na głębokości ogromnymi ciśnieniami, odzyskały swą pierwotną objętość — poziom wód w morzach i oceanach podniósłby się o 60 metrów.

JAK LECZYĆ CYNE

Jeszcze w starożytności stwierdzono, że przedmioty cynowe: naczynia, statuetki, ozdoby — z biegiem czasu pokrywają się szarymi plamami, a następnie rozsypują się na proszek. Zja-

kuchni wprowadzić dodatki krajowe, tym więcej, że wszystkie oprócz zalet smakowych mają zastosowanie w lecznictwie. O ile więc nie zachodzi wypadek stosowania diety indywidualnej, możemy je dodawać z całym zaufaniem, oczywiście dawkując je z umiarem.

Oto „nasze“ aromatyzujące przyprawy:

Majeranek — znakomity dodatek o ostrym korzennym zapachu, nieodzowny do drobiu o ciemnym mięsie, do flaków, wieprzowiny.

Jałowiec — pachnący jak pieprz i doskonale mogący go zastąpić.

Kminek — dodaje się do sera, chleba, kapusty, niektórych mięs i do różnego rodzaju pieczywa.

Czomber i tymianek — zastępują liście bobkowe.

Lubczyk — (tak, lubczyk!) „...zetrzyj na proszek, daj mu pić, a gdy pić będzie, patrz mu w oczy, ani mrugnij...“ — „Stara baśń“). Nasiona lubczyku mają smak paląco-korzenny, zapach ostry, przyjemny, podobny do zapachu liści bobkowych.

Koper — młodymi jego gałązkami aromatyzuje się zupy, sosy, ziemniaki, a nasiona są niezastąpione do kwaszenia ogórków.

Wreszcie — **czosnek** — przyprawa od zamierzonych czasów używana przez wiele narodów, a zarazem środek leczniczy, stosowany równie dawno przez medycynę ludową Europy i Azji... Używa się go do mięs tzw. „ciężkich“ (baranina, wieprzowina, dziczyzna) i do marynat. Ponieważ ma szerokie zastosowanie w lecznictwie, mianowicie: reguluje czynności trawienia, obniża ciśnienie krwi i ma własność bakteriobójczą, wskazane jest, aby ząbek czosnku w całości dodawać do wszelkich zup o ostrzejszym smaku, jako też do ciemnego mięsa. Młody czosnek, jeszcze zielony, drobno usiekany i utarty z masłem, jest doskonałą pastą do chleba.

wisko to, któremu nie umiano zapobiec, nazwano „dziwną cynową“.

Dopiero w ubiegłym wieku stwierdzono, że metaliczna cyna może istnieć zarówno jako biały, błyszczący metal, jak i w postaci szarego proszku. Przechodzeniu pierwszej formy w drugą sprzyja niska temperatura.

Na tej zasadzie oparto też „leczenie“ przedmiotów cynowych, tkniętych „dziwną“. Należy je na pewien czas zanurzyć do wrzącej wody — i prawie zawsze szare miejsca odzyskują dawny wygląd.

KILOGRAMOWY GRAD

Każdy z nas obserwował nieraz gradobicie — w ciągu kilku lub kilkunastu minut padały z chmury brytki lodu, sięgające rozmiarem wiśni, czy orzecha laskowego. Jednak grad tej wielkości jest fraszką w porównaniu z opadami gradowymi, jakie zdarzają się w krajach tropikalnych. Rekord pod względem rozmiarów pobił grad, który spadł w Indiach w maju 1929 roku. Niektóre brytki lodu miały 13 cm średnicy i ważyły do kilograma.

Jak się taki ciężar może utrzymać w powietrzu? Podczas badań, prowadzonych z samolotów, stwierdzono, że grad utrzymuje się, a nawet unosi do góry na skutek silnych prądów wstępujących, istniejących w chmurze gradowej. Zanotowano prądy o szybkości ponad 40 m/sek., a więc silniejsze od huraganu. Prąd taki może utrzymać brytki lodu ważące do 0,5 kg. Grad, który spadł w Indiach, wskazuje na to, że istnieją w chmurach gradowych prądy jeszcze potężniejsze.

CZY WIESZ?

Ile wynosi szybkość nowoczesnego samolotu odrzutowego? Jakie są rekordy lotnicze?

JEŚLI NIE WIESZ — to zaprenumeruj natychmiast tygodnik

„SKRZYDŁA I MOTOR“

który poinformuje Cię o najnowszych zdobyczach techniki lotniczej. Do nabycia w kioskach „Ruch“. Zaprenumerować można u listonoszy i w Urzędach Pocztowych, wpłacając pieniądze do 15 każdego miesiąca na miesiąc następny i dalsze.

Warunki prenumeraty: miesięcznie zł. 2,40, kwartalnie zł. 7,20, półrocznie zł. 14,40, rocznie zł. 28,80.

GRZYBY TRUJĄCE

RYSUNKI POSTĘPOWEGO MALARZA AUSTRIACKIEGO HENRYKA SUSSMANNA



Churchill



Syngman Rhee



Ridgway



Pinay



Franco



Acheson



Adenauer



TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4.—, kwartalna zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna zł 48.—.

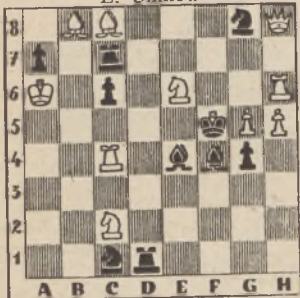
Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“
Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. 662. Papier rotogr. V/80-82 cm. — 3-B-17484

SZACHY

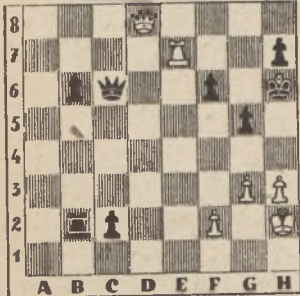
ZADANIE A 69

E. Umnov



Mat w dwóch posunięciach.

ZADANIE B 70



W powyższej pozycji, która przytrafiła się w jednym z niemieckich turniejów prowincjonalnych w roku 1934, czarne, na które przypada właśnie posunięcie, forsownie wygrały. Jak?

PARTIA NR 43

grana podczas turnieju międzystrefowego w Sztokholmie.

Obrona słowiańska.

Białe: Awerbach (ZSRR)
Czarne: Wade (N. Zelandia).

1. d2—d4 d7—d5 2. c2—c4 c7—c6 3. Sg1—f3 Sg8—f6 4. Sb1—c3 d5:c4 5. e2—e3.

Częściej grywane jest tu 5. a4. Arcymistrz Geller używa w tej pozycji gambitowej kontynuacji 5. e4. Posunięcie w tekście stosował niejednokrotnie Alechin.

5... b7—b5 6. a2—a4 b5—b4 7. Sc3—a2.

Białe odbijają po tym ruchu piona, za cenę jednak pasywnego ustawienia skoczka. Gambitową kontynuacją byłoby 7. Sb1.

7... e7—e6 8. Gf1:c4 Gf8—e7 9. Hd1—e2 Gc8—b7 10. 0—0 0—0 11. Wf1—d1 c6—c5?

Przedwczesne. Najmniej trudności z wyrównaniem miałyby czarne po 11... a5.

12. d4:c5 Hd8—a5 13. Gc1—

d2 Sb8—c6 14. Gc4—b5! Ge7:c5 15. He2—c4! Ha5—b6 16. Wa1—c1 Sf6—d7.

Jedyna obrona, która jednak też jest niewystarczająca.

17. Gd2:b4 Sc6:b4 18. Sa2:b4 Gb7:f3 19. Wd1:d7 Gc5:e3

Po 19... G:b4 20. H:b4 czarne z pionem mniej i w gorszej pozycji nie miałyby właściwie żadnych szans remisowych, wobec czego starają się wytworzyć komplikacje.

20. f2:e3 Hb6:e3+ 21. Kg1—h1 Wa8—c8 22. Sb4—c6 Gf3—d5 23. Sc6—e7+ Kg8—h8 24. Hc4:c8.

Teraz, gdy skoczek stoi na e7, białe mogą się nie obawiać wiecznego szacha.

24... Gd5:g2+ 25. Kh1:g2 He3—e4+ 26. Kg2—g1 He4—e3+ 27. Kg1—f1 He3—f4+ 28. Kf1—e1 Hf4—h4+ 29. Ke1—d1 Hh4—g4+ 30. Cb5—e2 Hg4—g1+ 31. Kd1—d2 Hg1—g5+ 32. Kd2—d3.

Czarne poddały się.

ROZRYWKI UMYŚŁOWE

SZYFROGRAM

Do podanej figury na miejsce liczb wpisać 11 wyrazów sześcioliterowych o poniższych znaczeniach. W ten sposób dla poszczególnych liczb otrzymamy odpowiadające im litery. Następnie wypisać wszystkie litery odgadniętych wyrazów według kolejności odpowiadających im liczb od 1 do 66 i odczytać rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów pionowych:

19) Głośna pochwała, pochlask, 30) Ryba z rodziny karpłowych, 32) Płaska powierzchnia, 40) Pora roku, 2) Przełęcz górską, 61) Silny materiał wybuchowy, używany do ładowania pocisków artyleryjskich, 7) Głównia u pałaza, brzoźszczt, 59) Części roślin.

Znaczenie wyrazów poziomych:

15) Okres czasu, 38) Piękny młodzieniec, 52) Biała broń używana w szermierce.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem

na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązanie zadania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.

FILATELISTYKA

NOWE ZNACZKI CHIŃSKIE

Dla upamiętnienia 25-lecia Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej ukazała się w Chinach seria składająca się z 4 znaczków: w kolorze czerwonym, fioletowym, zielonym i jasnobrązowym. Znaczki wartości 800 juanów każdy, wykonane są techniką stalorytniczą i drukowane na papierze niegumowanym. Mają format 33 x 22 mm (3) i 42 x 24 mm (1). Ząbkowanie 12½.

Z. R.



TANIO i ŁADNIE

Chociaż pogoda nie tyle mroźna, co słotna — trzeba ubierać się ciepło. Niedługo zaczniemy już wyjeżdżać na wczasy zimo-

we, na które należy przygotować sobie swetry, szaliki, rękawice itp.

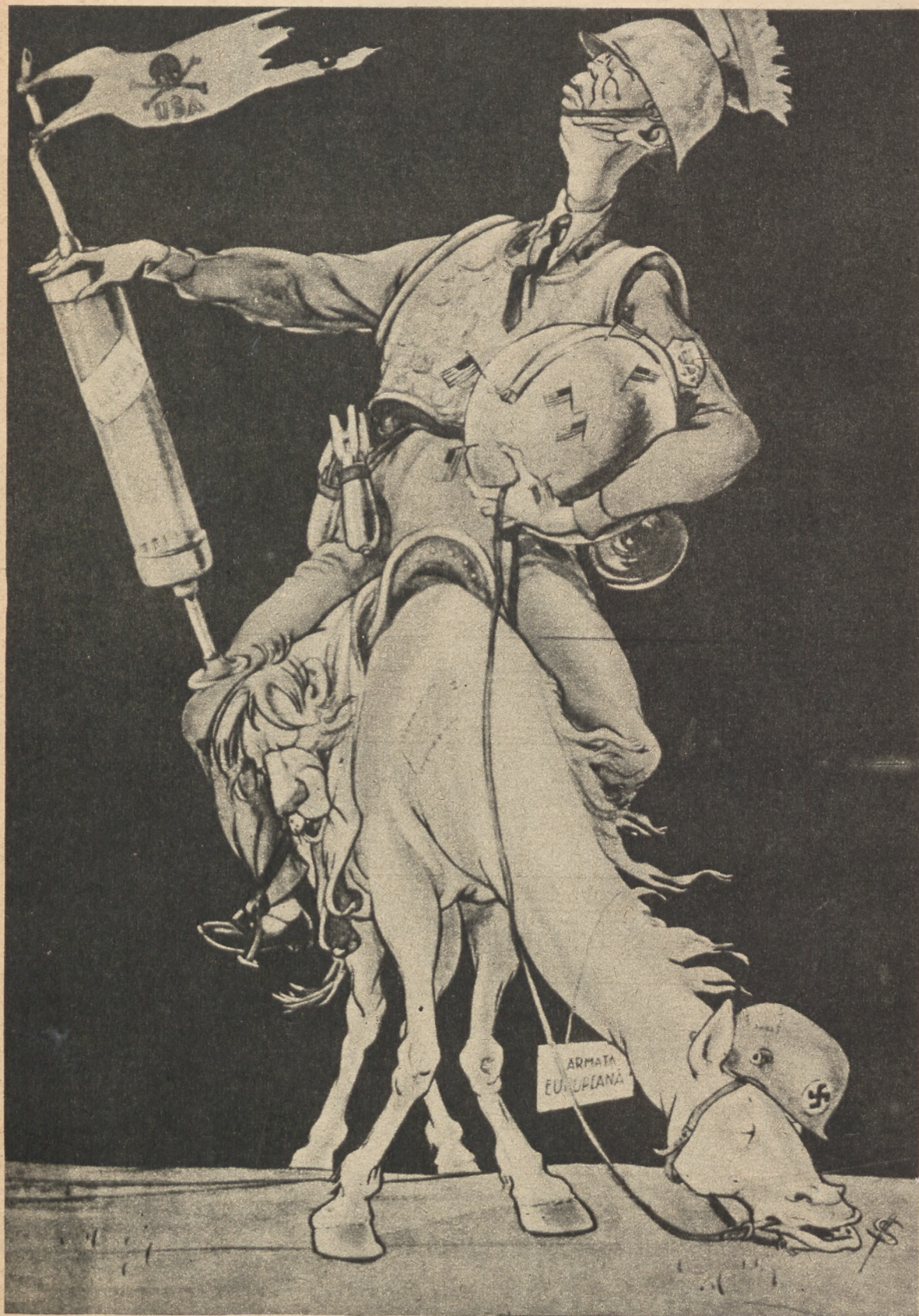
Nasz dzisiejszy model ma dwojakie zastosowanie: jako codzienny strój do pracy albo jako strój urlopowy — z tym, że

przed południem wymieniamy spodnicę na spodnie narciarskie.

Poniżej: sweter, szalik i rękawice — komplet bardzo przydatny na urlop zimowy. Wszystkie te rzeczy same możemy wykonać — spróbujmy.



Redakcję naszą odwiedził wybitny grafik-satyryk rumuński, Eugen Taru, który przebywa obecnie w Polsce w ramach wymiany kulturalnej. Poniżej zamieszczamy trzy rysunki naszego miłego gościa



Eisenhower — w pełnym rynsztunku

Rys. Eugen Taru



Rumieńce John Bulla

Rys. Eugen Taru



Tito — ekwilibrysta

Rys. Eugen Taru



Węglowy potok

Rys. Ibis



Rys. Jan Był

— Co za brak kultury pisać na ścianie!!

Amerykanie zwalniają zbrodniarzy w Trizonii



Rys. J. Szymczak

— Mówię ci, Hans, że wyjdiesz pierwszy, masz przecież o cały tysiąc osób wymordowanych więcej ode mnie.

KOT I DZIECKO



Rys. Jan Sochacki

W dniach 5—11 XI. br. obchodzony jest w USA „Narodowy Tydzień Kotów” pod hasłem „Pomóżcie ratować koty Ameryki!” (z prasy).